

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 7 zł.

„OSWIATA NAJLEPSZYM
JEST APOSTOLEM POW-
SZECHNEGO BRATER-
STWA“

Eliza Orzeszkowa

Rok 2

Łódź, 8 kwietnia 1946 r.

Nr 13 (31)

KONSTANTY GRZYBOWSKI.

O istotnym sensie pewnych pojęć

Gdy Konwent konstytucyjny Stanów Zjednoczonych roku 1787 pracował nad pierwszą konstytucją demokratyczną i gdy dyskutowano w nim zagadnienie powszechności prawa wyborczego, wystąpił przeciw niej jeden z najwybitniejszych członków pierwszej konstytuandy świata, gubernator Morris. „Jeśli głosowanie będzie prawem wszystkich ludzi wolnych — mówił — to rząd niewątpliwie znajdzie się

w rękach arystokracji. Nasz system rządzenia stanie się arystokratycznym. Znajdzie się w rękach ludzi bogatych, których interesy zrodzą liczne zależności przy każdym wyborach. Gdy powstanie u nas szeroki przemysł a zaludnienie naszych miast wzrośnie — bogaci kupcy i przemysłowcy wybierac będą faktycznie Izbę Reprezentantów. To będzie arystokracja”. U progu demokracji mieszczańskiej stoi

trafne zrozumienie skutków faktycznych powszechnego głosowania w społeczeństwie kapitalistycznym. Ocena tych nieuniknionych skutków niewiele się różni od późniejszej marksistowskiej oceny, niewiele od niej odbiega określenie różnicy między formalną a faktyczną równością. Inną jest konkluzja. „Uniknąć tego można jedynie przez ograniczenie prawa wyborczego dla posiadających” brzmiała

teza Morrisa. Ale dylemat: albo rozwój gospodarki kapitalistycznej — a wtedy demokracja będzie tylko pojęciem formalnym; albo też demokracja — ale wtedy nie mogą powstawać zbyt wielkie prywatne fortuny, był już wtedy rozumiany.

Amerykanin stawiał zagadnienie wyraźnie. Europejski teoretyk nauki o państwie widział je także, ale nie chciał go stwierdzać. Niemniej — wszystkie jego doktryny i teorie były obroną przed ewentualnymi antykapitalistycznymi następstwami demokratyzacji ustroju. Dla ojca nowoczesnego parlamentaryzmu i liberalizmu, dla Monteskiusza obroną taką była Izba wyższa. „Zawsze w społeczeństwie istnieją ludzie wyróżniający się urodzeniem, bogactwem i zaszczytami; gdyby byli oni zamieszani z ludem i gdyby mieli jeden głos tak jak wszyscy, wolność wspólna byłaby ich niewolą, gdyż większość uchwał byłaby przeciw nim skierowana. Udzielił im w ustawodawstwie powinienn być proporcjonalny do innych korzyści, które mają w państwie, co będzie miało miejsce wedy, jeśli będą tworzyli ciało, mające prawo zahamować zamierzenia ludu, tak, jak lud ma prawo zahamować ich zamierzenia”. „Równowaga” polityczna między czynnikiem arystokratycznym-plutokratycznym i demokratycznym zachowaniu ich nierównowagi gospodarczej, koncesja na rzecz równości wobec prawa od razu i równocześnie zneutralizowana nierównością przy tworzeniu prawa ma być środkiem obrony. Klasowy charakter konstrukcji wzajemnego „hamowania” się władz i izb parlamentu wyrażony jest jasno już u kontynentalnego twórcy tej teorii.

Kolejno, w początku XIX w. narzędziem zmierzającym do tego samego celu staje się teoria „czwartej władzy”. Podział władz został w okresie Wielkiej Rewolucji francuskiej pozbawiony swego pierwotnego, otwarcie klasowego uzasadnienia. Wszystkie trzy zostały ujęte jako organy suwerennego ludu, jako zleceńobiorcy powszechnego głosowania. „Pouvoir constituant” ogółu stanęła nad nimi. Demokratyczna forma państwa stanęła ponad monteskiuszowskim ideałem mieszanej formy państwa. I oto zjawia się wtedy teoria nowa. Ponad trzema organami ludu stoi czynnik czwarty, „pouvoir neutre”, czy „pouvoir modérateur”, czy „pouvoir régulateur”. Od Benjamin Constant przejmując ją nasza opozycja kaliska w Kongresowce. Jedynym wybitnym traktatem teoretycznym - politycznym okresu powstania listopadowego jest przekład (właściwie syntetyzująca parafraza) „Monarchii konstytucyjnej” Benjamin Constant, dokonana przez wodza liberalno-parlamentarnej większości Sejmu, Wincentego Niemojewskiego. „Trzy władze polityczne, prawodawcza, wykonawcza i sądowna są, tak jak było znane dotychczas, trzema sprzężniami, które mają, każda w swoim oddziale przykładać się do ruchu ogólnego. Lecz kiedy te sprzężyny wyszedłszy z karbów, zaczęły się krzyżować i plątać i przeszkadzać sobie nawzajem, potrzeba siły, która by je na ich zwróciła miejsce. Ta siła nie może być w jednej ze sprzężyn, gdyżby jej posłużyła do zniewolenia innych; należy jej więc być zewnątrz, być niejako neutralną aby wszędzie mogła działać, gdzie tego potrzeba i aby była zachowawczą i poprawczą a nigdy nieprzyjazną” — tak widział największy umysł polityczny drobnoszlacheckiej liberalnej opozycji ideał ustroju Polski, wyzwolonej powstaniem od unii z Rosją. Czynniki, nieobjęte parlamentaryzacją i — jakże formalną — demokratyzacją ustroju miał być w nim czynnikiem decydującym w razie konfliktów między organami narodu i „moderować” życie polityczne i społeczne.

Zycie idzie naprzód. Od dwóch drobnych rozprawek Lassale'a „Über Verfassungswesen” zaczyna się demaskowanie faktycznej społecznej treści konstytucyjnej.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wiersze paryskie

Mourir a Paris

Irenie Paczkowskiej

W domu przecież się mimo wszystko żyło,
I czuło życie. Po cóż tu umierać?
Deszcz pada. Paryż zasypia, zachodzi
Jak księżyc chmurą.
Rodzi się i żyje.
Po cóż umierać?

Za oknem sztywne ogrody.
Na oknie mimoza usycha.
Z puszystej staje się jak morska gwiazda
Wyjęta z wody.
Brać mój sprzed trzydziestu lat
Przychodzi taki sam
I taki inny
W uśmiechu narzuconym niby płaszcz
W uśmiechu narzuconym przez Oświęcim.

Poemat mi się marzy
A słowc nie umiem napisać.
Rozciąga się szarość nad miastem
i lot
i luk
tryumfalny

I rękę zimną czuję. Po cóż tu umierać
Z czerwonym kwiatem krwi w ustach?

O, przyjaciele
Dawno już umarli.
Wlecie jak tutaj wszystko obojętne
Wznosi się tukiem gotyckim nad głową
Lub dusi niskim sufitem metra.
Biała cegielka
Fajansowa.

Mimoza schnie jak serce ludzkie
W olbrzymim mieście.
O Boże leża jaka wielka
Nad wieżą Eifla.
Klaczka
Pasaca się na mokrej łacie dachów.

Ty wiesz René,
Jak smakuje trucizna.

III

A w domu cicho.
Za oknami brzozy
Przygotowują się do wiosny.
Niewyrabane jeszcze brzozy.
Dziecko płacze —
To mój wnuc.

W domu cicho
— I tutaj cicho
Podwórze —
Mało róż.
Dużo ostrych ostróg.
Podniebny luk.

Och, jak słowami trudno coś wyrazić
Śmierć jak życie —
Kwiaty, czerwone od krwi.
Na dole w hotelu wesele, un mariage
U inwalidów złota straż
I grają tango:
Mourir mourir à Paris.

Metro

Strumienie sentymentu i strumienie ludzi
Zalewają mnie.
Pośpiech, pośpiech, pośpiech —
A ja sam
Jak kamień pomiędzy łalami.

Murzyn z czerwoną gwiazdką
Bracie, dlaczego smutny?
Patrz jak wagony lecą w głąb
Szynami szybują szybko,
Niby zabawka którą ręką
Puszczą
Olbrzymie dziecko.

Kochać? Tak, może kochać
To jeszcze zbawienie,
Sam stoję jak wierzbo
Nad strumieniem
Twarzy.
Nie śpią się —
A oni leżą, leżą w świat.

— Pani zgubiła filjolki.
— Dziękuję.
— Jestem rad.



Jarosław Iwaszkiewicz
fot. Sławny, Paris

Opera

Schody gigantów jak w Wenecji
Mantyle dam, motyle oczu.
I złoto kapie, mokre złoto,
Ciemne
Jak z krwią.

Podniebne słupy foyer.
I mały gubi się w nich człowiek.
Ach nie zamykaj tylko powiek
Bo ujrzyz nagle
Jak ci źle.

Paszcza orkiestry smyczkiem wyje
I flet kołuje niby ptak
Baselle wykrecają szyje
Tympany warczą
Jak psy —

Zamykam jednak oczy zmęczone
I widzę dom —
Warszawy gruzy, róży pęk
I stopy cegiel czerwona
Niby uciętych stopy rąk.

20 luty

Soupaull, Eluard, Aragon
Wasze nazwiska brzmią
już
jak nazwy róż.

A kolce?
Te dnie, te wszystkie dnie
Co kłuły —
Nie ma już siły.
Wszystkie zranili
Ostatni zabije.

Tam śnieg —
Tu na brzegu Sekwany drzewa
Pochylone struny harfy
I dymu ze stłoków
Pochyłe szary —
Jak na obrazie Sisleya —
I brzeg i Luwr.

Umarli, ja jeszcze żyję.
I żyje nadzieja
I miłość
I świat.

Jak gołąb co z kopuły spadł
Jak nieba złota czara
Opada, obejmuje wpeł —
Wiara.

Pożeganie Paryża

W niebieskim świecie
Biegną ulice
Błyszczącą wstęgą w górę idą
Rzucają załamaniem rąk
Łuki i dzidy.

Olbrzymia linia ponad głową
Uderza w tarczę wielkiej bramy
Jak głos o świecie
Wolający.

Oczy więc patrzą
Moim śladem,
I mosty skaczą
Wpław,
Na obeliski u zmarłej fontanny.
O Boże — zbaw!
Na czarnym szczycie krągłej kołunny
Cesarz zamartwą zwraca twarz
Ku mgłom,
Ku niebieskiemu światu.

Jak na afiszu wszystko razem
Razem ze światem —
Płacze się w liniach na sinym tle.
Taxi allez plus vite —

Przed nami nieba różowieje szczyt —
I srebrny ptak do lotu rozwarł skrzydła,
I śrubby zgrzyt —
Adieu, adieu Paris.

lucjonalizmu mieszczańskiego, wykazywanie różnic między „konstytucją formalną” a „konstytucją faktyczną”. Dotychczasowe narzędzia mające neutralizować skutki demokratyzacji — pozbawione są swej najistotniejszej skuteczności, jaką im dawała otaczająca je ideologia. I oto zjawia się trzecia konstrukcja, mająca bronić przed skutkami demokratyzacji. Już nie jawnie klasowy czynnik jak u Monteskiusza Izba wyższa. Już nie czynnik teoretyczny „neutralny” i stojący nad innymi a więc rzekomo z żadnym innym nie związany „czwarta władza”. Już nie żaden okrefesiony organ, a więc — socjologicznie rzecz tłumacząc — konkretna osoba czy zespół osób, z konkretnym środowiskiem społecznym związanych. Czynnikiem tym jest teraz abstrakcja. Jest nim „prawo”.

Najwpływowszą w okresie międzywojennym teorią państwa, teorią Hansa Kelsena i jego wiedeńskich uczniów wiodzi w prawie zespół zdań i wyrazów, które mogą być interpretowane i stosowane do konkretnych faktów tylko w jeden „prawdziwy” sposób. Wychodzi z założenia, że norma prawna jest jednoznaczna i dopuszczalna tylko jedną „prawdziwą” interpretację, twierdząc równocześnie, że interpretacja ta jest stosowaniem prawideł logiki. Polityczny sens doktryny tkwi w fakcie, że wiążące i jedynie słuszne interpretowanie prawa dokonywane jest przez sądy jako organy „fachowe” co przetłumaczone na język polityczny znaczy znowu — organy w najmniejszym stopniu objęte procesem upolitycznienia czyli demokratyzacji, organy bardziej klasowo jednolite niż parlament a nawet niż — w wyższym stopniu od parlamentu uzależniona — administracja.

Stanowisko tego rodzaju miały i mają sądy od dawna w krajach anglosaskich, w najwyższym stopniu w Stanach Zjednoczonych, gdzie interpretują wiążąco również konstytucję, kontrolują ustawodawcę, czy działa z konstytucją zgodnie. Ale tam nie podbudowywano tego stanowiska sądów tezą, że sąd stosuje tylko prawdziwą logikę, że jest tylko „ustami ustawy” jak mówił Monteskiusz. Tam mówiono o otwartości, iż sąd działa twórczo, interpretując prawo nadaje mu jeden z wielu sensów, jaki tkwi w wieloznacznych pojęciach ustawy. Świętym historyk ustroju amerykańskiego Jacques Lambert określa społeczny sens wiążącej interpretacji konstytucji przez sądy w „początku XIX w. słowami centralizacja i rozwój kapitalizmu są zawsze, w orzeczeniach Sądu Najwyższego interpretowanych przez Marshalla (pierwszego Chief Justice) dwoma uzupełniającymi się ideałami”. Społeczny sens judykatury nie był nigdy w Ameryce ukrywany. Ale — zwycięska walka Roosevelta z tendencjami Sądu Najwyższego — ukazała że społeczny sens judykatury może ulec zmianie bez zmiany ustawodawstwa. Od tezy, że ośmiodziesięcioletni dzieł pracy jest naruszeniem konstytucyjnie zagwarantowanej wolności umowy — do tezy iż tylko zorganizowany i posiadający pełne i nieograniczone prawo strajku robotnik korzysta faktycznie z wolności umowy jest przepaść, a obie tezy są interpretacją tych samych słów amerykańskiej konstytucji.

Każda teoria państwa, każda teoria ustroju wyraża w określonym środowisku społecznym — ma swój określony sens społeczny. Ale każda „ogólna zasada ustroju” dopuszcza różne interpretacje. Wchodzący w okres nadawania słarym pojęciom nowej treści, może w okresie nadawania po raz pierwszy pewnym pojęciom formalnym wyrażenie określonej treści.

Konstanty Grzybowski

W poprzednim (12) numerze „Kuznicy” z dnia 1 kwietnia 1946 r.: Mieczysław Wienoś — Cierpię fortelany, Paul Eluard — Gwiazdka, oskarżeni w Norymberdze mają wakacje, K. W. Zawodźniński — W sprawie genealogii inteligencji polskiej, Paweł Hertz — Klerk o poezji, Zygmunt Szymański — Komendant Paryża, Władysław Broniewski — Komuna Paryska, Ludwik Hering — Ślady, Marek Dorn — Uwagi o naszej emigracji, Janina Żurawiecka — W kwestii nowych programów, Jan Rojewski — Siedem dni, Tadeusz Holuj — Kto się w końcu zachwycał? Adam Ważyk — Rozmaitości — Porozumienie humoru Bohdan Czesko — Na temat pamfletu „O młodszych braciach” T. Grzybleniowski — Korespondencja pl — Przegląd prasy, Juliusz Żulawski — Mariusz i tango Milonga, Noty.

STANISŁAW A. MAJEWSKI

Źródła gospodarcze imperializmu niemieckiego (1925--1940)*

Cechą strukturalną niemieckiego, gospodarstwa narodowego była przewaga przemysłu ciężkiego nad lekkim. Lekki przemysł zarówno inwestycyjny jak konsumpcyjny uzupełniał i obsługiwał przemysł ciężki rozwijając się niejako w jego cieniu, pod wpływem dyspozycji i potrzeb od niego wychodzących. Otóż podstawowym surowcem ciężkiego przemysłu jest żelazo; pod pewnym względem jest ono bardziej podstawowym surowcem niżeli węgiel, który w dużej części zastępuje się dzisiaj energią hydro-elektryczną, podczas gdy namiastki żelaza nie ma dotąd. Przed pierwszą wojną światową (w 1913 r.) Niemcy wydobywały i przetapiały 28.600.000 ton rudy na 15.600.000 ton surowca.²⁾ Rudy tej dostarczały im niemal wyłącznie złoża Lotaryngii, największe i najzabobniejsze w Europie.

W wyniku przegranej pierwszej wojny światowej Niemcy, jak wiadomo, musieli zwrócić Francji Lotaryngię. Stały one wtedy przed zagadnieniem: skąd i w jaki sposób zaopatrywać przemysł w rudę. Było to dla nich rzeczywiście sprawą „być albo nie być”. Na zakupywanie rudy zagranicą, we Francji, Szwecji, Hiszpanii trzeba było mieć kapitał obrotowy w postaci dewiz, złota lub pełnego zasobu takich towarów, na które był popyt po wojnie. Otóż wszystkie rezerwy dewiz i złota zostały przez Niemcy zużyte w czasie wojny na zakupy dokonywane za pośrednictwem usługowych i dobrze na tym zarabiających państw neutralnych. Jednym zaś z głównych towarów niemieckich, na które był zagranicą tradycyjny popyt, to były wytwory metalurgiczne, do których to wyrobów właśnie potrzebne było żelazo. Po utracie Lotaryngii, Niemcy posiadali tylko nieliczne złoża rudy, która jako zawierająca mniej niż 40 proc. żelaza była mało wartościowa, tak że jej eksploatacja nie kalkuluowała się. Kopalnie te były więc po pierwszej wojnie światowej przeważnie nieczynne, a gdy nawet później zostały uruchomione (jako t. zw. Hermann-Goeringwerke) dostarczały zaledwie 1/10 ilości potrzebnej Niemcom rudy. Bismarck powiedział, że scementował jedność Niemiec krwią i żelazem. I oto historia jakby zadzwiała z mądrości wielkiego kanclerza, pozbawiła Rzeczę żelaza i nakazywała zachować jedność.

Rozglądając się więc za możliwościami zdobycia kapitałów na zakup rudy żelaza (i innych zresztą t. zw. kolorowych metali, których też u siebie prawie nie mieli) Niemcy podsunęli zwycięzcom bardzo zręczną trzeba przyznać koncepcję. Zabiegali skromnie o pożyczkę na zakup surowca, bez którego przemysł nie mógłby pracować, tak że nie mieliby z czego spłacać odszkodowań wojennych. Alianci na tę koncepcję poszli, a pierwszą chętną była Francja. Francja bowiem odzyskała razem z Lotaryngią złoża rudy, ale nie wiedziała, co z nią zrobić. Jej bowiem struktura gospodarcza opiera się, odwrotnie niżeli w Niemczech głównie na przemysle lekkim i słabo jej rozwinięty przemysł ciężki nie mógł skomunować bogatej produkcji rudy lotaryngijskiej. Chcąc nie chcąc trzeba więc było postarać się o to, aby dawny jej odbiorca — ciężki przemysł niemiecki stanął na nogach. Przyjęcie zresztą tej koncepcji niemieckiej miało również aspekt polityczny. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej, aliantów trapiła znowa „czerwonego niebezpieczeństwa”. Związek Sowiecki został po pogromie Niemiec uznany za wroga nr. 1 którego trzeba było izolować od reszty świata za pomocą sławetnego „kordonu sanitarnego”. Ale żeby ten kordon spełniał należycie swoje zadanie trzeba było przy nim postawić żandarmów. Na takiego żandarma Europy zwycięzcy upatrzyli sobie Niemcy powojenne. Do mniejszych państw, położonych między Rosją a Niemcami nie żyłli oni zbyt wielkiego zaufania i jakkolwiek przy kaz-

dej sposobności po przyjacielsku klepali ich przedstawicieli po ramieniu i nazywali ich sprzymierzeńcami, nie wierzyli w ich siły. Ponieważ żandarm musi być syty, dobrze ubrany i co najważniejsze — uzbrojony, zwycięzcy udzielili Niemcom pożyczki na kapitał obrotowy, który był niezbędny do uruchomienia niemieckiego aparatu wytwórczego.

Zdobywszy możliwość nabywania rudy żelaznej i innych surowców, przemysł niemiecki stanął przed nowym, nie mniej ważnym zagadnieniem. Niemce nie wyroby musiały być tanie; wszystkie bowiem kraje, które wchodziły w rachubę jako ich odbiorcy, na skutek wojny zubożały tak, że wyroby drogie były dla nich nieodstępne. Chodziło o to, aby towar niemiecki wyposażyć w największe możliwości konkurencyjne. O cenie własnej każdego produktu fabrycznego decydują dwójakie koszty: stałe i zmienne. Koszty stałe obejmują amortyzację inwestycji kapitałowych, koszty zmienne obejmują ceny surowca i płace za robociznę. Oczywiście tylko owe koszty zmienne mogą być obniżone. Obniżenie cen surowca jako pochodzącego od zagranicy nie leżało w mocy przemysłu niemieckiego. Zostały więc tylko jedna możliwość: obniżenie kosztów robocizny. Ale w tej sprawie wyłoniły się nowe, duże trudności.

Kłęska Niemiec wzmocniła bezpośrednio po wojnie klasę robotniczą, zarówno jej główną organizację polityczną — socjalną demokrację, jak i jej związki zawodowe. Wysoki standard życiowy robotnika niemieckiego był zdobyczą, którą te organizacje najbardziej się chlubiły.

Powszechne więc obniżenie stawek płac i tym samym i standardu życiowego mas robotniczych równałoby się wyłączeniu socjalnej demokracji i jedynego jej atutu z ręki. Był to zabieg niebezpieczny, mógłby on przypomnieć socjalnej demokracji i związkom zawodowym ich dawne tradycje bojowe i obudzić je z drzemki reformistycznej. Gdyby zaś przywódcy socjalnej demokracji przyjęli ten zabieg biernie, mogliby wkrótce zostać sztabem bez armii, gdyż masy robotnicze wobec takiej postawy socjalistów przeszłyby do niezależnej partii socjalno - demokratycznej lub do komunizmu. Z zabiegu tego trzeba było więc zrezygnować tym bardziej, że znalazło się inne dyskretniejsze, co prawda bardziej skomplikowane wyjście z sytuacji.

Obniżkę kosztów robocizny można było osiągnąć przy pomocy bardzo pomysłowego środka, który nastreczył wiele dogodności także pod innymi względami. Wyposażenie techniczne przemysłu niemieckiego nie zrobiło prawie żadnych postępów ani podczas trwania wojny, ani tym mniej w okresie chaosu inflacyjnego w pierwszych latach powojennych. W porównaniu z przemysłem amerykańskim — niemiecki był wyraźnie zacofany zarówno pod względem nowoczesności aparatu technicznego, jak racjonalizacji procesu produkcyjnego oraz standaryzacji i normalizacji produktów. Otóż unowocześnienie aparatu produkcyjnego musiało siłą rzeczy doprowadzić do redukcji pracy ludzkiej, tym zagadnieniem obniżki kosztów własnych produkcji zostało rozwiązane. Rozwiązanie to miało co prawda pewne braki i nastreczało trudności, ale zalety były bezsporne. Ani partie polityczne, ani związki zawodowe nie mogły i nie miały prawa przeciwstawić się modernizacji przemysłu. Modernizacja miała wprowadzić stopniowo redukować liczbę zatrudnionych w przemyśle, i to było jednym z jej celów, ale musiała to zrobić z samej swej istoty stopniowo, nie obciążając naraz wszystkich gałęzi przemysłu. Trwała ona rzeczywiście pięć lat od 1925 — 1929 r. Liczba robotników niezatrudnionych zwiększała się wprawdzie stale z miesiąca na miesiąc, ale stopniowość tego procesu dawała czas i możliwość na oswojenie się z tym, zjawiskiem; z początku przechodziło ono nawet niedostrzeżenie. Ważne było również że zabieg ten nie przerażał socjalnej demokracji i pozwalał jej nadal trwać w roli filaru ustroju kapitalistycznego. Szeregi jej co prawda rzędy ho wyrzuceni z procesu produkcji robotnicy, skazani na życie z zasiłków i na przymusową, demoralizującą bezczynność przedko sobie przypominał dawne tradycje bojowe swej klasy i przechodzili do partii komunistycznej. Rozbić klasy robotniczej na dwa coraz bardziej równe sobie siły obozy było niezmiernie pożyteczne dla interesów kapitału niemieckiego.

Modernizacja sprzętu przemysłowego była rzeczą nie mało kosztowną i trzeba

było zdobyć na nią środki, ale o jej konieczności udało się Niemcom równie łatwo przekonać swoich wczorajszych nieprzyjaciół. Znalazła się i pożyczka na 15 w postaci sprzętu udzielanego na kredyt a nawet w efektywnych dolarach. Od 1925 — 1929 r. Niemcy uzyskali na zakup surowca i na modernizację, pożyczki długoterminowe w wysokości przeszło 3 i pół miliarda dolarów; zaznaczyć przy tym należy, że dolar był podówczas jeszcze nie zdewaluowany i że jego wartość nabywcza w Stanach Zjednoczonych była wtedy znacznie wyższą, niżeli dzisiaj. W samych dewizach i złotych Niemcy otrzymały 2 i pół miliarda marek.

Jakież były skutki tego zabiegu gospodarczego, niezwyklego pod względem tempa i zasięgu. Odpowiedź na to dają cyfry. Już w pierwszym roku modernizacji aparatu przemysłowego, Niemcy wydobywały 133 miliony ton węgla, w porównaniu z 141 milionami w roku 1913, a w produkcji stali zupełnie zrównali się z produkcją przedwojenną. Ażeby całkowicie zrozumieć wymowę tych cyfr, trzeba sobie przypomnieć, że Niemcy powojenne straciły tak ważne ośrodki produkcji przemysłowej jak Górny Śląsk oraz Alzację i Lotaryngię. Natomiast eksport w tym roku był niższy niż przedwojenny, wynosił on tylko (!) nie całe 7 proc. ogólnego eksportu światowego, w porównaniu z 13 proc. w roku 1913. Raport francuskiego Comité des Forges określił rok 1927 jako „une periode d'étonnante activité” przemysłu niemieckiego i sygnalizował, że konsumpcja stali w Niemczech przekroczyła o dwa miliony ton rok 1913.

W produkcji węgla kamiennego, surowki, stali, wyrobów walcowanych z żelaza: stali, aluminium, cementu i energii elektrycznej Niemcy zajęły drugie miejsce w świecie po Stanach Zjednoczonych, a pierwsze miejsce w Europie, w produkcji azotniaków nawet pierwsze miejsce w świecie. W 1928 roku Niemcy produkowały już blisko 14 milionów ton surowki (w 1913 r. 12 mil. ton) oraz przeszło 16 milionów ton stali (1913 r. — 14 mil. ton).

Nastąpiła również gruntowna zmiana w stosunkach własnościowych aparatu produkcyjnego, modernizacja bowiem pociągnęła za sobą ogromną koncentrację przedsiębiorstw pracy. Warsztaty średnie i drobne przeważnie nie mogły zostać zmodernizowane, bo wysokie koszty modernizacji opłacały się tylko przy produkcji masowo seryjnej i standardowej, poza tym ta forma produkcji wymaga dużych kapitałów obrotowych. Toteż wzrosła nadmiernie ilość karteli, wynosiła ona 2.000 w r. 1930. Aktywność karteli stawała się coraz szersza i głębsza, zamknęły one liczne fabryki, wypłacając ich właścicielom odpowiednie odszkodowania. Niemiecki Trybunał Karteli powołany w r. 1923 dla kontrolowania i hamowania zbytniej działalności karteli, coraz częściej podtrzymuje i utrzymuje ich poczynania. W grudniu 1925 r. został ustanowiony słynny koncern I. G. Farben, który zjednoczył w sobie wszystkie fabryki produkujące barwniki tak że zatrudniał 70 tysięcy robotników, mając kapitał w wysokości 1.100 milionów marek. W 1926 r. ukonstytuowały się Vereinigte Stahlwerke z kapitałem 800 milionów marek, eksploatowały one pod wspólnym kierownictwem wszystkie ważniejsze fabryki i kopalnie w zagłębiu Ruhr.

Tak to ogólna polityka międzynarodowa powersalska oraz polityka reparacyjna aliantów w połączeniu z zapobiegliwością i przedsiębiorczością przemysłu niemieckiego doprowadziły do tego że pod koniec okresu racjonalizacji (w końcu 1929 r.) Niemcy rozporządzały potencjałem gospodarczym o wiele potężniejszym niżeli przed wojną światową, nie tylko w stosunku do zmniejszonego terytorium uszczuplonych zasobów naturalnych ale nawet w bezwzględnych liczbach produkcji. Jeżeli chodzi zaś o żelazo, to Niemcy sprowadzały z zagranicy tyle rudy, ile eksportowała — przy maksymalnym wydobyciu — Francja największy producent rudy żelaza w Europie.

W ten sposób powstała jedyna w swoim rodzaju postać strukturalna gospodarki kapitalistycznej. Do owego czasu typową postacią była gospodarka, która opierała się o bazę surowca znajdującego się w kraju własnym a produkowała dla rynków zagranicznych. W Niemczech zaś powstała forma gospodarki kapitalistycznej, która rozporządzała jedynie aparatem wytwórczym, a zależna była od zagranicy

*) Zadaniem artykułu jest wyjaśnienie specyficznych źródeł gospodarczych imperializmu hitlerowskiego. Wobec obszerności tematu, musimy ograniczyć się do historii lat 1925 — 1940, pozostawiając na marginesie polityczną stronę genezy hitleryzmu, która posiada nie tylko niemiecki, ale również międzynarodowy aspekt, jak i problem ogólny źródeł imperializmu niemieckiego, który korzeniami swymi sięga do 19-go wieku.

**) Dane liczbowe w powyższych uwagach pochodzą z książki: Louis Pommeroy, Histoire économique contemporaine 1890 — 1939, Paryż 1945.

nie tylko pod względem zbytu, ale również pod względem możliwości otrzymania podstawowych surowców. Już sama zależność od kapryśnego rynku zbytu, na które produkcja żadnego wpływu nie miała, powodowała niepokój i niepewność egzystencji szerokich warstw społeczeństwa. Co dopiero mówić o gospodarce w skali światowej, gdy zależna jest także od zagranicznych ośrodków dyspozycyjnych w zakresie zdobycia surowca nieodzownego dla produkcji krajowej? W każdej chwili mogło nastąpić przesilenie.

Nieustannie grozący kryzys stał się faktem dokonany w roku 1930. W styczniu 1931 roku wskaźnik produkcji przemysłowej w Niemczech spadł do 65 proc., a w styczniu 1932 wynosił tylko 51 proc., w porównaniu do 100 proc. z roku 1929. Papiery wartościowe straciły w roku 1932 40 proc. swej wartości notowanej na giełdzie w roku 1929. Bankructwa były na porządku dziennym, najgłośniejszy był upadek jednego z największych banków niemieckich Danat (Darmstädter und Nationalbank). Nastąpił run na banki. Ale jeszcze groźniejsze było to, że wierzyciele zagraniczni wycofywali swoje krótkoterminowe wkłady z banków niemieckich. W ciągu jednego tylko września 1932 r. Reichsbank stracił dewiz na przeszło pół miliarda marek. Niemcy zwrócili się do Banku Międzynarodowych Wypłat w Bazylei z prośbą o kilkumiesięczne sprolongowanie wypłaty krótkoterminowych wkładów zagranicznych i rat reparacyjnych według planu Younga. Moratorium to przyznano im i przedłużano później kilka razy. Niemcy nigdy tych długów i odszkodowań nie zapłacili. Przeszło 10 miliardów marek w złocie zostało „zablokowanych” i ten pokazywał majątek więźni w narodowe gospodarstwo niemieckie.

Nie był to kryzys wyłącznie niemiecki, był on powszechny i miał charakter światowy. Sygnałem jego stał się krach giełdy w Nowym Jorku. W dn. 18 do 24 października 1929 r. ofiarowano na giełdzie 70 milionów akcji do sprzedaży, a w ciągu jednego tylko dnia, 24.10. (tzw. czarny czwartek) rzucono na rynek 13 milionów akcji. W ciągu tych kilku dni kursy akcji spadły o 30 proc. Jak żywiołowa burza kryzys przerzucił się z Ameryki na Europę. O nasileniu jego świadczą cyfry. W porównaniu z rokiem 1929 wskaźnik cen spadł w roku 1932 — w Stanach Zjednoczonych do 68 proc., w Niemczech do 70 proc., w Anglii do 67 proc., we Francji do 66 proc. Produkcja w tym roku obniżyła się w porównaniu z rokiem 1929 o 47 proc. w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech, o 29 proc. we Francji, o 31 proc. w Belgii, o 33 proc. we Włoszech i 38 proc. w Polsce. Ogólna ilość całkowicie bezrobotnych wynosiła jesienią tego roku 30 milionów, poza tym było wiele milionów częściowo zatrudnionych w fabrykach, które pracowały mniej niżeli 20 godzin tygodniowo.

Wymowa tych cyfr staje się zrozumiałą dopiero po ich porównaniu z odpowiednimi cyframi kryzysów dawniejszych. W latach 1929—1932 przeciętna zniżka cen wynosiła 30 proc., podczas kryzysu w roku 1873 od 10 do 15 proc., w roku 1890 od 5 do 18 proc., w roku 1900 od 5 do 8 proc., w roku 1907 od 4 do 8 proc. Produkcja surowki żelaza obniżyła się w roku 1873 o 8 proc., w roku 1883 o 10 proc., w roku 1890 o 6,5 proc., w roku 1907 o 23 proc., a w roku 1932 o 55 proc. Porównanie tych cyfr pokazuje, że kryzys w latach 1930—1932 był pod względem nasilenia zjawiskiem zupełnie niezwykłym i bez precedensu. Dlatego też kryzys tych lat zaczęto odróżniać jako — strukturalny od poprzednich — koniunkturalnych. Nawet przeciwnicy marksizmu ze zdumieniem uznawali trafność opisu takiego kryzysu strukturalnego, który przewidzieli Marx i Engels w Manifestie Komunistycznym. „Nagle społeczeństwo znajduje się z powrotem jakby w stanie barbarzyństwa, jakby głód lub wojna nieczystości naraz pozbawiła je wszystkich źródeł egzystencji. Przemysł i handel wydają się unicestwione, a dla czego? Dlatego, że społeczeństwo ma... za dużo cywilizacji, za dużo środków egzystencji, za dużo przemysłu, za dużo handlu”. Kryzys koniunkturalny znajduje swoje rozwiązanie w ten sposób, że albo całe gałęzie przemysłu przestają się na inną produkcję, albo stracone rynki zbytu zostają zastąpione przez nowe. Każdy kryzys spowodowany zostaje przez załamanie się przemysłu wytwarzającego dobra inwestycyjne. Przemysł produkujący dobra konsumpcyjne zostaje dotknięty kryzysem dopiero w dalszej kolejności już pod wpływem załamania się przemysłu inwestycyjnego. Dlatego im ostrzejszy jest kryzys, tym większe jest załamanie się produkcji w dziedzinie dóbr inwestycyjnych w porównaniu z produkcją dóbr konsumpcyjnych. Cyfry spadku produkcji

w latach 1930—1932 są pod tym względem niezwykle charakterystyczne:

Kraj	Produkcja dóbr konsumpcyjnych	Produkcja dóbr inwestycyjnych	R o k 1929
Zt. Zjedn.	73 proc.	24 proc.	100 proc.
Niemcy	83 proc.	40 proc.	100 proc.
Anglia	85 proc.	72 proc.	100 proc.

Z kryzysu strukturalnego wyrosła w St. Zjednoczonych nowa forma kapitalizmu, kapitalistyczna gospodarka kierowana (New Deal). Kapitalizm niemiecki znalazł inne rozwiązanie, miał on bowiem dwie całkiem zasadnicze cechy różniące go zarówno od starego kapitalizmu europejskiego jak i od nowego — amerykańskiego.

Pierwszą jego specjalną cechą był epigonizm. Jego rozkwit, spóźniony co najmniej o wiek, przypadł na czas, gdy rynki zbytu były już opanowane przez Wielką Brytanię i Francję, w których wielki przemysł maszynowy zaczął się rozwijać w końcu XVIII w. Drugą cechą charakterystyczną przemysłu niemieckiego było to, że oparł się w swoim powstaniu i swoim rozwoju o bazę surowcową francuskiej Lotaryngii i — w mniejszym stopniu — polskiego Śląska. Pod tym względem był on podobny do domu wzniesionego na placu będącym cudzą własnością. Natomiast kapitalizm Anglii i Francji oraz St. Zjednoczonych rozwijał się organicznie w oparciu o własne bazy surowcowe. Francja mając obficie rudę żelazną, ale niedostateczną ilość węgla, musiała po kilku próbach w wieku XVIII i XIX zrezygnować z ciężkiego przemysłu tak rozbudowanego, aby był głównym ośrodkiem życia gospodarczego; ośrodkiem tym stał się zupełnie naturalnie jej przemysł lekki. Gdy w roku 1918 Niemcy musieli oddać zdobyte przemocą bazy surowcowe, szczególnie w Lotaryngii, przemysł ich a z nim cała gospodarka nanodawa straciła grunt pod nogami i zawisła w powietrzu. Pozostawiona sama sobie gospodarka niemiecka po roku 1918 musiała albo przestawić się na produkcję dóbr konsumpcyjnych i w związku z tym przebudować się na zasadach niekapitalistycznych, albo byłaby się rozpadła. W pierw-

szych latach powojennych, od 1919 — 1924, ścierały się właśnie w Niemczech siły, które zmierzały do gruntownej przebudowy gospodarki społecznej z siłami zdecydowanymi, ażeby do tego nie dopuścić nawet kosztem całkowitej ruiny kraju. Do walki tych dwóch sił w Niemczech wtrącił się alianci ze swoją polityką reparacyjną i swoją koncepcją uzbrojenia Rzeszy jako „żandarma Europy”.

Polityka ta zrodziła potwora, który, aby żyć, musiał odwrócić bieg historii, zburzyć wytworzoną przez rozwój XIX w. konfigurację geograficzno-polityczną świata i wykreślić z niego tyle „przestrzeni życiowej” ile jej potrzebował na rynki zbytu i bazy surowcowe. Apetyty jego były wspólne z potęgą aparatu wytwórczego, odnowionego i zrjonalizowanego przy pomocy dewiz i sprzętu dostarczonego przez międzynarodowy kapitał. Musiał on zdobyć całą Europę, duże obszary Azji — co najmniej północną Afrykę, aby mógł rozbudować i utrzymać w ruchu przemysł zdolny wchłonąć przeszło 8 milionów pracowników, którzy stracili zatrudnienie wskutek modernizacji aparatu wytwórczego. Musiał pół świata zamienić w kolonie i półkolonie, które miały służyć przemysłowi niemieckiemu jako bazy surowcowe, rynki zbytu i rezerwuar tanich sił roboczych. W tym celu należało w krajach podbitych zniszczyć przemysł rodzimy, zgładzić warstwy ludności uświadomione politycznie, zamienić narody w masę bierną gospodarczo, politycznie i w ogóle kulturalnie.

W rezultacie zwycięskiej wojny miały Niemcy stać się największą potęgą lądową. Panowanie na oceanach gotowe one były na razie wspaniałomyślnie pozostawić „germańskim” Anglo-Sasom. Nie trudno dostrzec, że fantastyczna mistyka rasowa, o twórczym narodzie panów, o „krwi i ziemi”, była sublimacją uczuciową myślową oraz quasi-etycznym uzasadnieniem światoburczych planów gospodarczych opartych na komercyjnej kalkulacji.

Przerachowali się. Odwrócenie biegu historii jest zadaniem z góry skazanym na niepowodzenie, ale Niemcy uważali je za możliwe, gdy uda im się zmobilizować „to-

talne” wszystkie swoje siły i środki, zagrać nimi va banque. Co do tego nie ludzili się bowiem, że tylko raz jeden można spróbować rozwiązać takie zadanie. Dążąc do obalenia porządku międzynarodowo-politycznego, który powstał w wyniku organicznego rozwoju kapitalizmu od końca XVIII w., Niemcy zaczęli konsekwentnie swoją destrukcyjną robotę od kasowania ideologicznej nadbudowy cywilizacji mieszczańskiej. Uznali za niebyłą Deklarację Praw Człowieka i Obywatela, na której przeważnie dotąd opierały się ustawy konstytucyjne, życie parlamentarne i instytucje prawa publicznego u większości narodów współczesnych. Przekreślili również prawo międzynarodowe, jako przeszkodę w planach, zmierzających do odwrócenia koła historii.

Tak więc ideologia, polityka i totalna wojna niszcząca Trzeciej Rzeszy były wynikiem potrzeb i interesów ciężkiego przemysłu niemieckiego. Lecz Trzecia Rzesza mogła się zdobyć na swoje, istotnie gigantyczne, zwycięstwa militarne jedynie dzięki pomocy uzyskanej od aliantów na modernizację i racjonalizację niemieckiego aparatu wytwórczego. Oto w ostatecznym bilansie odpowiedź na pytanie sformułowane we wstępie do niniejszych uwag.

Sprawiedliwości stało się zadość: Na ławach podsądnych w procesie norymberskim obok politycznych wodzów zastępi również „führerzy” niemieckich kół przemysłowych. Ale najwyższy sędzia spraw ludzkich, jakim jest historia, upomni się także o innych mężów stanu i tych potentatów z międzynarodowych trustów, którzy kierowani zachłannością własnej klasy, stali się reżyserami niemieckiego „boju gigantów” o władzę nad światem.

Historia napiętnuje politykę powersalską aliantów co najmniej jako krótkowzroczną i lekkomyślną. Będzie to wyrok znacznie ostrzejszy aniżeli ten, który zapadł w Norymberdze, w myśl bowiem cynicznej zasady współczesnej dyplomacji — błędy w polityce, to coś znacznie gorszego niż zbrodnie.

St. A. Majewski

KAZIMIERZ BRANDYS

Strategia^{*)}

Nadeszły ciepłe dni. Przekopana ziemia przyjęła w siebie słońce. Zdumiałem się pewnego razu, kiedy zadzwoniła Marianna i jej głos w telefonie mówił mi słowa, których nie mogłem odgadnąć. Kazała mi słuchać czegoś.

— Słuchać? — wołałem nie pojmując — czego? Nie rozumiem cię, powiedz o co ci idzie!

— Podejź do okna... — odpowiedziała smutno i głos jej zadrżał. Zostałem ze słuchawką w ręku; jej już nie było po tamtej stronie. Szeroko otworzyłem okno. Placyk był pusty. Z daleka dobiegł mnie głuchy, przytłumiony wybuch. Powietrze pachniało młoda ziemią. W odległej części miasta dygotał terkot kanonady.

Kwiecień, czterdziesty trzeci rok. Niebo było wówczas spieszne i niskie. Dopiero pod wieczór rozpiął się błękit. Nocą żarzyły się luny nad Leszkiem i Bonifratską. Pożary wstępowały w ciemny zmierzch i noc wspierała się na nich do świtu. Dymy mieszały się z wiosenną mgłą, bruk odpowiadał niebu ciężkim sękiem. Nad miastem trwał wyniosły opór Żydów warszawskich. Sztandary narodów przyjaznych ludzkości powiewały nad dachami ghetta.

„Żydowska, wojna” — mówiła właścicielka sklepiku na Popodnej, żegnając się znakiem krzyża.

Dziwne obrazy zachowała pamięć z tych kwietniowych dni. Wlokłem się wówczas godzinami po zwornych ulicach, lecz siłą, która wypędzała mnie z domu, nie był zapach kwitnących drzew. Działy w mieście sprawy większe niż wiosna: — pragnąłem je oglądać. Ludzie za murami wybrali sobie własną śmierć. Wystawiałem pod dworcem, patrząc jak w stronę Towarowej wznosi się ciemny, węglisty kłęb. Tam, piwnicami skradali się Niemcy, jak szczyry, aby podpalic walczący, żydowski dom. Wysoko ponad miasto wzbijał się wówczas garstka obrońców ghetta. Pod dachem Nowiarskiej czuwa w otworze czarna twarz, przytulona do zamku karabinu. Smukła lufa powoli szuka celu, poslušna seksu, — stalowa droga nienawści.

Chciałem być blisko nich w tych dniach, gdy gnębił mnie wstyd, że nie jestem z nimi. Docierałem do różnych miejsc, skąd słycać było gwizd kul i charkot wrzasków niemieckich. Ale nie widziałem wiele. Zawsze zamykał mi drogę mur. Objąłem się po mieście jak ćma, oślepiły od dymu. Bliski huk wysadza chmurny płat ponad szczyty kamienic. Te chmury nie na deszcz. Nie na pogodę ta luna. Żydowscy rekruci, wysmiewani w dowcipach, chłopcy z odstającymi uszami, blade wyrostki o wilgotnych oczach ścisają kolby pistoletów, a w nozdrza wdziera im się proch. Nie śmieję się, że ci żołnierze kaleczą polskie słowa. Suchy wystrzał broni czystym językiem męstwa. Tę zwięzłą mowę zrozumie chłopiec z Powiśla i z Woli. Niech granat, wyrzucony z przekleństwem, rozerwie ciszę sumień. Niech dowie się miasto i świat, że Żydzi zabijają Niemców. W gnieździe z żółtych worów powiewa biała płachta z gwiazdą. Walczy tam tragarz z Muranowa, którego synek nigdy nie — idział drzew. W Warszawie trwa żydowska wojna.

Nie pochwalałem wówczas śródmieścia, gdzie w kawiarniach nie ucichł gwar, i czułem się winny za tłum zebrany przed kinem i za spacery w Alejach, gdzie chłopcy zaczepiali dziewczęta. Przechylił temu niebo, podpalone na żydowskich krafcach, i turkot czołgu, który włamywał się w płonący dom. Wolalbym, aby miasto skamieniało w zgrozie, aby dziewczyny złożyły głowy na ramionach kochanków; aby z ich oczu popłynęły łzy. Ale Warszawa jest miastem niezwykłym. Nie leży w jej naturze rozpacz nad dołą — nie tylko cudzą, ale i własną. Chłopcy i dziewczęta z Alej wyznaczają sobie wkrótce naróżne spotkania w dniu, który jeszcze nie nadszedł, lecz który także nie będzie dniem współczucia dla towarzyszy, co giną od kul. Szorstkie serce Warszawy przywykło do widoku śmierci. Na szarej ścianie domu wieńczy okno biały ślad. To bije z bruku cekaem. W obłoku pyłu błysnęła stal; pogarda zwięza oczy nad zamkiem karabinu. Ten obraz miasta, który dziś jest pierwszy, kiedyś się wyda ostatnim. Wiosna zmieni się w jesień, — ale nie zmieni się los.

Włóczyłem się po ulicach, wężąc proch i dym, a drogę wskazywała mi czerwien na niebie. Pragnąłem być blisko nich, aby mi wiatr przyniósł jakiś okrucich walki, lub aby dostrzec zza węgla szczyt domu, w którym wybrali śmierć. Lecz tylko raz udało mi się zobaczyć przez chwilę pusty plac z działkami wyszczerzonym pośrodku i krępego żołnierza w hełmie, który kłęcząc z automatem opartym o biodro i wrzeszczał na obsługę, wskazując ręką szarą ścianę kamienicy, gdzie z okna zwieszała się czerwona chusta. Paru innych leżało na brzuchach, płasko przywarłszy do jezdni; śmieli się. Szare portki opinały im wydeję tyłki. Było tu teraz cicho, tyłko żołnierz wrzeszczał jak wściekły. Obsługa zaroła się przy działku. Z bramy naprzeciw mnie wyglądały niepewne twarze w kapeluszach. — Żydki się, panie, postawili, że proszę — filozofował ktoś za moimi plecami. Na lewo stał mały człowieczek w czarnym palcie, przyciśnięty do ściany, i patrzył w plac, ręce rozplaszczony po bokach na murze. Ale zanim zdążyłem sobie uprzytomnić, że go znam, huk rzucił mna w kłęb czyichś ciał i wypadłem na chodnik, zagarnięty przez biegący tłum. — Wiać! — pisał mi ktoś koło ucha. Za nami, na placu grzechotała seria automatu i dzwoniło szkło. Popchnięto mnie naprzód w stronę zakreutu. Zwolniłem tam kroku. Wóz z beczkami wyjechał z bramy i zagroził drogę. „Ho-o!” — krzyczał woźnica z kozła. — Widział pan tego — zaseplenił do mnie jakiś przygodny towarzysz w cyklistówce — co to się nie ruszył spod ściany? Ale chryja, hy! Brzdęk, łubuda, a on nic. Odważna jakaś bestia, czy co. — Pewnie — zgodziłem się i przystanąłem na chwilę, walcząc z myślami, czy wrócić, czy iść dalej. Bo ogarnął mnie niepokój, że pan Zieliński stał tam, przyciśnięty do muru kamienicy i wystawiony na ludzką wzrok. Nie powinien był wychodzić w tych dniach, — zwłaszcza on, ze swym wyglądem, i zwłaszcza teraz, gdy Żydów stamtąd poznają małe dzieci.

Przyszły pogodnie święta. Pożary dźwigały do nieba wyniosłe czarne słupy. Mur,

*) Fragment.

dział obronny, a niegdyś graniczny, wali się pod naporem czołgu; nad Franciszkańską sina mgła. Z Mokotowa, gdzie w okna zaglądały chude pręty drzew, widać wieczorem krwawy ślad rozwleczony nad dachami miasta. Domy ghetta płonęły uroczyście i groźnie, jak ogniste krzaki, których nie powinien oglądać ludzki wzrok. W mieszkaniu na Pogodnej po posadzkach snuły się żółte plamy słońca. Było tu sennie i ciepło. Adasiowie wyjechali na święta do Opacza, z trójki młodych Woynów został tylko Staś; panna Balbina zamykała się w swym pokoiku na długie godziny, a pan Zieliński udzielał się mało i zza jego drzwi dochodziło czasem drobne dreptanie kroczków. W pustym pokoju Adasiów skrzyptały meble, łagodny powiew poruszał firankę. Przed zmierzchem narzucałem płaszcz, aby iść przed siebie w stronę lun.

Ale żydowska śmierć ogrodzona była równie szalenie, jak życie żydowskie, zamknięte tu do wczoraj. Stałem z zadartą głową patrząc na szarą ścianę, zza której wypełzał gęsty zwój dymu. To było wszystko. Nie widziałem nic więcej. Posępnie działa się ta śmierć, skazana na samotność, chroniona od świadków i wyklęta jak pomór. Łapacze stali po bramach, polując na oczy, w których czaił się strach. Zielone wozy z rżędem hełmów błyszczących w słońcu przejeżdżały ulicami skracając w dzielnicę ognia i krwi. Tłuste, ponure pyski widniały nieruchomo spod stali, ciężkie i obłe jak kawały glazu. Tramwaje koło placu stały w długich sznurach dzwoniąc na granicy lun. Ogień z żydowskich dachów wyznaczył przystanek. Żydowska śmierć wstrzymała ruch.

Błądziłem pod ścianami kamienic, póki było jasno. Czasem klekot salwy przecinał mi drogę lub spłoszone stadko gapiłów zagarniało mnie w ucieczkę. Kiedy indziej musiałem odpocząć i oprzeć się o mur we wnęce chłodnej bramy. Raz podszedł tam ktoś do mnie i podetknął mi pod nos brudną łopę, na której leżała lśniaca złota szczyka. — Nie kupię — powiedziałem nie patrząc w twarz. Łapa przesunęła się bliżej, a szept, który mi tłumaczył, że powinienem kupić — był ludzki. Przeczyłem kręcąc tylko głową. Złota szczyka zniknęła w pięści. Uciekłem stamtąd.

Raz, w czasie wędrowki wlałem na dziwne podwórko, głębokie i mroczne jak kopalnia żył. Zamykały je dwie ogromne ściany, rozdzielone murem. Ludzie w ciastnych grupkach tłoczyli się wokół żołnierzy wykakaj im kielbasę, papierosy i wódkę. Panował tu zgiełk i pisk. Szauliści stukali kolbami o beton. Z okna ryczał głośnik patofonu. Wielki, zwalsty żandarm przysiadł bokiem na pustej, wywróconej skrzyni w rozpiętym mundurze i śmiał się, zakasując rękaw do łokcia. Zobaczyłem wóchatę ramię z poszóstym pierścieniem bransolet i białe wyszczerzone zęby. Podnosił rękę do góry i obracał ją pod słońce, ruszając palcami tak kuglarz. Dwaj przekupnie w czapkach przyciśniętych koło niego, gapiąc się z podziwem. Ta grupa ludzka na tle czerwonego muru została mi w oczach, jak fresk. On, przechylony, z ręką sterczącą ponad gołym łbem, i tamci dwaj — skuleni nad rozłożonym towarem, niby karły, z nosami zadartymi nie wyżej jego kolan. I niebo po drugiej stronie, powleczone niską chmurą, różową od ognia i słońca.

Przysiągłem sobie odtąd nie ruszyć się z domu na krok. Tego wieczoru wracałem przez miasto i wlokłem spuchnięte stopy pólnując wzrok przed siebie, które nąsiętko krwista mgła. W domu zastałem Stasia. Otworzył mi drzwi i zmarszczył nos po swojemu, w niezadarnym uśmiechu. Chciał czegoś chyba ode mnie, bo kiedy położyłem się na łóżku, zapukał, wszedł i ustąpił na krzesło wpięrajac we mnie swe oczki. I chrząknął. Musiałem na niego spojrzeć.

— Czy chcesz czegoś Stasiu? — spytałem unosząc głowę.

— Ja? Nic. — potarł rękami o spodnie. Potem znów milczał wierząc się na krzesło. — Heca na mieście, co? — mruknął ponuro — Chodź pan patrzeć, wiem przecież.

— No więc? Co z tego? Chodźcie.

— Nie, nic. Ja tylko tak. Ale... — uciął nagle patrząc na mnie spod oka.

— Ale co?

— Ale pan Zieliński też chodzi patrzeć. Widziałem go wczoraj na Przejęczdzie. Stał pod ścianą, wie pan, nawet nie w bramie. Jak pan myśli czy to dobrze? Powiadała że szpicli dużo.

— Niedobrze — potwierdziłem — ale co z tego? Ja mu tego nie powiem. Chcesz, to idź do ciotki.

— Nie — kręcił głową — nie pójdę... Teraz go także nie ma — mrucał z namysłem. — Może wpaść. Mnie przecież nie idzie o...

— Rozumiem — wzruszył ramionami. — Wiem, że ci nie idzie o siebie, ale na to nie ma rady. Nie można człowiekowi pewnych rzeczy zabronić, nawet w jego interesie. Patrzy bo musi patrzeć. Może by zwariował, gdyby nie patrzył.

— Ja wiem... — zgadzał się Staś. — Pan przecież tam chodzi, i ja chodzę, koledzy także. Nie tylko on. A jak pan myśli, czy oni długo wytrzymają? Niemcy się włamali na Stawkę, wie pan?

— Wiem.

— Tak... — chrząknął i patrzył na mnie, przełykając ślinę. — A pan Zieliński śpiewa u siebie wieczorem, wie pan? Stoi przy oknie w kapeluszu i śpiewa. Jak pan myśli, czy to dobrze? Bo ludzie mogą zobaczyć.

— Niedobrze — szepnąłem. — na pewno niedobrze. Ale zostaw mnie już Stasiu.

Wstał i zmarszczył niepewnie nos. Był zmieszany. W progu zawahał się na moment i znów spojrzał na mnie.

— Proszę pana, może pan mi powie, bo koledzy nie wiedzą. Czytam teraz taką książkę. Nazywa się „S. O. S.". Co to znaczy dokładnie po polsku S. O. S.?

— Ratujcie nasze dusze — wytłumaczyłem patrząc, kiedy pójdzicie.

— Acha... — pokłwał głową. — Ratujcie nasze dusze. — I namyślał się jeszcze, a potem zamknął drzwi.

W ciągu następnych dni pożary rozlewały się nad miastem coraz szerzej. Niebo nie gasło nocami, ciemność zapalała nie tylko gwiazdy i księżyc. Długo chodziłem wówczas po pokoju i przez szparę w zasłonie podglądałem luno. Znow spadł na

KAZIMIERZ CHOJNACKI

Podwórko

religię żydowską a chrześcijańską nie ma właściwie żadnej różnicy, bo „i my mamy Pana Boga i wy też, my mamy Wielkanoc i wy też... „No to dlaczego ty nie jesteś Polak?” — pada z boku podstępne pytanie.

No... bo... ja jestem Żyd!

Wiosną, kiedy w sąsiednich ogrodach zakwitły bzy, nastawał okres wypraw kwiatowych, latem i jesienią — owocowych. Skomplikowany system sznurów, gwoździ i desek ułatwiał sforsowanie wysokiego płotu, nieraz jednak pies dozorca pozbawiał amatora cudzej własności kawałka spodni w miejscu i tak zresztą narażonym na częsty szwank z rodzicielskiej ręki. Wyprawy te, jako niepozabawione ryzyka, o co za tym idzie „meskie”, były dorocznym programem placu i przetrwały długie lata. Zdobytwane jabłka były wprowadzane kwaśne jak ocet siedmiu złodziei, zdobywcy spożywali je jednak z wyrazem twarzy tak blozim, że widowie żółki z zazdrości; prawda, że kradzione gałązki bzu były suchotnicze i pocięciotne, jednak właściciele nie oddaliby ich za pęk młodoży (gdyby nawet widzieli co to jest mimosza).

Cwiczeniem cielesnym, a zwłaszcza akrobacji służył masywny trzepak, który jednak z biegiem czasu szybko tracił swoją masywność i pewnego dnia, legł grzebiąc pod gruzami Józka od dozorca. Chłopak po tym wypadku trzy dni leżał, nie mogąc ani ręką ani nogą ruszyć, a złośliwi twierdzili, że więcej niż trzepak pomógł mu w tym rodzony ojciec, ale złośliwych nigdy nie brak. Sam bohater chodził w gorli i chwale i opowiadał wszystkim, że przeszedł zapalenie mózgu.

Zapalenie mózgu było w owym czasie szczytem marzeń każdego. Józek usunął tym zapaleniem w cień nawet ruda Dorę, zwaną nie wiadomo dlaczego, „świńskie suchoty”, która królowała dotąd swą złamaną nogą. W jakimś czasie jednak potem starszy z braci Sledziów pobił wszystkich na głowę, kiedy to ślepy koń odgryzł mu kawałek prawego ucha. Fama o tym zdarzeniu dotarła nawet do sąsiedniej ulicy, więc podwórko było niesłychanie dumne ze swego bohatera Sledziwa. Na użytek obcych dodawano jeszcze, że koń zjadł to ucho i otrul się, ale to tylko na użytek obcych bo przecież na własnym podwórku wszyscy dobrze widzieli jak koń wypluł brudne ucho Sledziwemu.

Serie krwawych wypadków zakończył Kazio Pietruszka. Otrzymał na gwiazdkę szablę, przy pierwszej okazji wypró-

bał na głowie swego adherenta tak znakomicie, że zaszła konieczność interwencji lekarskiej. Rodzice poszkodowanego a z nimi dwie ofiary i pół frontu przeżywały Kazia mordercą, a nadomiar złego ulatka szabelka zlamana się w owym stanciu.

Kazio nie mógł się teraz pokazać w oficynach i bardzo tego żałował, bo właśnie nastąpiła moda gry w chowanego, czyli „plincówkę”, a terenem jej był klatki schodowe. Tam też rozwinął się nowy sport: mianowicie dzwonienie, kto dłużej do jakichkolwiek drzwi. Rekordzistą w tym sporcie został piegowaty Welwus. Z najniższą krwią trzymał palec na guziku dzwonka tak długo, póki kroki służącej nie dały się słyszeć tuż za drzwiami. Wtedy dopiero Welwus uciekał wydając triumfalne okrzyki. Lecz przeholował kiedyś nieborak i kucharka ukryta za drzwiami wylała mu na głowę garnek gorącej wody.

Osobliwą okazją do peot było żydowskie święto kuczek. Do dobrego tonu należało wrzucić do kuchni przez dach z jedliny zdechłego kota lub szczura, a śmiały Józek kłódką zamknął kiedyś całe świętujące towarzystwo na długie godziny.

Dziewczęta nie odgrywały w życiu placu większej roli. W psich fiłkach były tylko widziami lub donosicielami, poszurchnięte zazwyczaj plakały, kiedy im się odbierało kolorowe szkieleto do patrzenia, lub skorupkę do gry w klasy — „Jęciały” na skąge — słowem były do niczego. Jedynie tylko Balcia Geryng, biorąca chętnie udział w zabawie w meża i żone — cieszyła się pełnym szacunkiem męskiej połowy podwórka.

Pewnego wiosennego popołudnia — chłopcy skakali właśnie z dachu komórek, a dziewczęta wydawały piski podziwu — przybiegł Wacek od ślusarza z wiadomością, że „na naszym placu będą budować fabrykę”. Wiadomość była tak nieszykła i oczalamająca, że nikt już nie zwracał uwagi na napisy na płocie. Fabryka zajęła wszystkie umysły, stała się wyłącznym tematem rozmów i radosnym oczekiwaniem.

Niedługo też potem zaczęły zajeżdżać wozy z piaskiem, ceglami, wapnem, zjawili się jacyś ludzie z taśmami, biało-czerwonymi kijami, z dziwnymi cudownymi przyrządami do patrzenia, o których opinia podwórza twierdziła, że pozwalają zobaczyć Dworzec Kalicki poprzez mury, lub nawet Włśniową Górę, jak dodawali

Kazimierz Brandys

inni. Jeszcze potem zjawili się murarze, powstały rusztowania, doły z wapnem, zaczęto kopać fundamenty.

Dla podwórzowej gromadki nastaly złote czasy. Żadna siła nie potrafiła zatrzymać dziełami w domu. W kącie poszła piłka, klipa, klasy i „plincówka”. Podwórze żyło tylko budową. Szczytem marzeń stał się zawód murarza. Murarze potrafili wspaniale kłaść, podrzucali cegłę jedną ręką, stali wysoko na chwającej się desce i wcale się nie bali. W sobotę zaś upijali się i wtedy byli trochę straszni.

Chłopcy naśladowali ich z całej mocy. Po fajraniu podwórze opanowały niepodzielnie budowle. Józek stróżak odgrzywał majstra. Ręce wsadzał głęboko w kieszenie obszarpanych porciat, zataczał się lekko i rozkazywał: Cegłę podaj! Wody do kalfasu! Kłaść równo pod winkiel! Chłopak, wasserwaga! Reszta uwijała się żywo po rusztowaniach, szynach i stosach cegieł. Nawet dziewczęta odważały się, wszelako po wydaniu całego szeregu okrzyków trwogi, wejść po drabinie na wysokość pierwszego piętra. Bohaterski Józek dawał się spuszczać na linie w kuble od zaprawy, brał gołą ręką lasowane wapno, zadając kłam twierdzeniu tchórzliwych towarzyszy, jakoby zerało ono ciało do kości, chodząc z zawieszonym oczyma po najwyższych tregrach, — słowem był niezrównany, bez mała — prawdziwy murarz. Nie potrafił tylko wziąć na plecy tyle cegieł, co dorosły, ale tłumaczył to wcale prawdopodobnie owym zapaleniem mózgu, które mu całkiem siłę w krzyżu odebrało. Wierzonu mu bez zastrzeżeń i bawiono się wspaniale.

Ale wszystko ma swój koniec, więc skończył się i złoty okres podwórza. Pewnego pięknego dnia zamurowano bramę łączącą budowlę z pozostałą częścią placu — oto małe społeczeństwo uczuło się wydziedziczone ze swych praw, okradzione i haniebnie oszukane!

Pozbawiono ich kawału ojczyzny, dokonano strasliwego rozbioru. Objawami buntu były teraz wybijane metodycznie szyby nowego budynku, ale powstanie skończyło się przedko, kiedy starszego Władka wzięli na komisarjat i sprali na kwaśne jabłko.

Podwórzowa gromadka wycofać się musiała na zaburzoną przestrzeń między złymi, nieościnnymi murami, na obrzydłe nagie klatki schodowe, do ciasnych, miednych mieszkań.

Naocaly skrawek placu chodzono niechętnie i rzadko, chyba tylko dla odbycia posiedzeń na ostatnich dwu wozach.

Ze względu na coraz większą liczbę czerpiących z krynicy wiedzy, nabierały te posiedzenia wybitnie naukowego charakteru. Spierano się zawzięcie, co jest trudniejsze do napisania czy duże B, czy też raczej K, czy cegła to kamień, czy na kasę czy na ludzie i jak się rodzą dzieci. Nauka rozczarowała swe kuszące, dalekie horyzonty, świat ludzi dorosłych zbliżał się, niepokoił i czarował.

A potem szło się głębokim wąwozem podwórza do mieszkań. Na parterze przy bramie na jasnym tle kwadratów okien stróża, fruujące talerze i stołki przy akompaniamencie wymyślań i złorzeczeń kręśliły cichą idylę rodzinnego szczęścia. A w mieszkaniu sędzią już sąsiadka i toczyła się rozmowa o tym, że Hamera ma krzywe nogi, a Chmielewska skończona 52 lata; że obcas od Hajnego zetnie się a nie wykoślawi; że w tym roku kasaki znowu modne, a krepdeszyna z AGB marnie się pierze; że zaczęła się nowa powieść w Ekspresie, a Gorgonowa pewnie jednak winna; że za Moskala było wszystko tanio a teraz jest drogo; że Piłsudski Żydów popiera; że w sklepie na rogu stęchła mąka; że dozorca pewnie niedługo drugą żonę wykończy; że na Wschodniej matka troje dzieci siekierą zabiła, a męża z kochanką tasakiem; że dzieci w ogóle teraz takie rozpustne i nieposuchane; że znowu kopia kanalizację, że radio to wielki wynalazek, bo można nabożeństwa z Wilna wysłuchać, że na Polesiu Konstantynowski dobre powietrze, a na Juljanowie wilgotno; że nowy śmietnik potrzebny, że dla niemowląt fosfatyna, tapioka i maczka Nestle to zero w porównaniu z sakiem marchwi, że ksiądz Oraczewski to kozłowita, a u Richtera w sklepie samochód szyby wybił; że bida jest i źle jest, bo w narodzie wiary nie ma i jeszcze o tym, że podatki duże i że wojna będzie.

Usypiający, szemrzący jest potok wymowy sąsiadki, za ścianą ryczy wielkim głosem radio, a gospodarzy grają w karty i wymyślają sobie od lubozów.

Ale zmęczenie silniejsze jest, niż odgłosy kamienicy wielkiego miasta. A kiedy dzieci posną śnić im się będzie Jutro, pełne zabaw i niespodzianek na zmartwych-wstałym nagle placu radosne Jutro młodości...

Kazimierz Chojnacki

JACQUES FREVILLE

Lenin i kultura

Pierwsza fala rewolucji rzucała w ręce przywódców „kadeckich” i „eserów”. Polityka Kiereńskiego, marioletki, która chciała odegrać rolę dyktatora, polegała na wyczekiwaniu, na opóźnianiu rozwiązania wszystkich problemów, na oszukiwaniu ludu. W bitwach dojrzewała nienawiść i gniew, które narastały w ciągu wielu wieków niewolnictwa. Chłopi i mundurach, którym opowiadano na froncie o rewolucji agrarnej, masowo opuszczali okopy, wracając do swoich wsi, aby wziąć udział w podziale ziemi.

Jednocześnie została zdobyta Ryga i nieprzyjaciel zagrażał bezpośrednio stolicy. Na progu czwartej wojennej zimy brak było wszystkiego: broni, węgla, mąki. Stały się fabryki. Przed światem, w mroźne moce, tonąc w błocie, kobiety stały godzinami przed pustymi sklepami — jednocześnie święcili triumf rozpusta, kradzież, oszustwo, spekulacja. Bezdomna ludność szturmowała kursujące jeszcze pociągi — dezertery, wygłodniałe mieszkańcy miast, handlarze i spekulanci z czarnego rynku, manudery, którzy odłączyli się od swoich kompanii oblepił platformy i dachy wagonów.

Wśród wzrastającej nędzy i ograniczeń zbijali swoje fronty spekulanci, którzy porozumiewali się ze szpiegami niemieckimi i z agentami Ententy. Jak zwykle, klasa uprzywilejowana, nienawidząc rewolucji, zwróciła się o pomoc do zagranicy. Raczej Wilhelm niż bolszewicy! Właściciele podpalali i zatapiali swoje kopalnie, wysocy urzędnicy polecali nieszczęśliwym, w fabrykach inżynierowie demonstrowali maszyny.

W chwili, gdy reakcja w ukryciu i jawnie kumała swoje spiski, gdy zapanowała anarchia i kryzys ekonomiczny gwałtownie przeobraziła i rozpacz ogarnęły masę jeden człowiek, zmuszony kryć się w Finlandii i jedna partia, prześladowana i postawiona poza prawem, przygotowywała największą ze znanych w historii rewolucję. Lenin nie wahał się w tej tak ciężkiej i tak tragicznej chwili! Cała władza w ręce rad — głosił Lenin. Ziemia — chłopom, fabryki — robotnikom, pokój i chleb dla ludu! „Wszelkie opóźnienie w działaniu równa się śmierci”. Lenin wdział ze swojej silnej ręki proletariatu jest w stanie zdusić hydrę kontrrewolucji i zbudować nowy świat. Wola, odwaga, wiara i twórczy entuzjazm Lenina pomógł masom do zwycięstwa. Lenin, omijając etapy, ustanowił republikę radziecką w kraju uciskanym przez wszystkie nieszczęścia wiekowego despotyzmu, na ziemi nagłej i opustoszonej, prawie pozabawionej przemysłu i jednym ruchem przeniósł Rosję średniowiecza w samo serce dwudziestego wieku.

* * *

Od chwili wybuchu powstania uzbrojeni robotnicy okupowali drukarnie, by drukować w nich w czasie walk ulicznych ulotki, broszury i gazety.

Jeden z pierwszych dekretów rządu komisarzy ludowych zawieszal wydawnictwo wszystkich dzienników, które wrogó usiłunkowały się do rad, rozpuszczając fałszywe pogłoski lub oszczerstwa i podburzając do zbrodniczych wystąpień.

Pozbawiona głosu burżuazja zareagowała w imię wolności, wołając: „Dlaczego żądacie wolności prasy, będąc partią nielegalną, a teraz sami nam tej wolności odmawiacie?” Lenin nie dał się zbić z tropu tym rozmowom. Swobody, których domagała się burżuazja, były zawsze przez nią wykorzystywane dla jej własnych interesów — dla oszukiwania i eksploataowania ludu. Nie ma wolności dla wrogów wolności!

W oczach Lenina literatura jest nieodłączną bronią klasy. Pisarz i dziennikarz — to żołnierze pod sztandarami danej klasy. W społeczeństwie klasowym, pisarze stoją po jednej lub po drugiej stronie barikady. Lenin przeciwstawiał „literaturę, która rzekomo uważa się za wolną, a w rzeczywistości związana jest z burżuazją, literaturę naprawdę wolną, szczerze związaną z proletariatem”. Na posiedzeniu Centralnego Komitetu Wykonawczego Kongresu Rad, 17 grudnia, Lenin wygłosił przemówienie przeciwko wolności prasy, której domagali się wrogowie rewolucji, a która w istocie umożliwiała kapitalistom przekupywanie prasy, swobodę posługiwania się majątkiem dla urabiania tego, co nazywa się opinią publiczną i utrzymywania na swoim żołądź wielkiej ilości pismaków.

Lenin przypomniał szkodliwy wpływ popularnych gazet, które rozchodzą się w wielkich nakładach i docierając do naj-

bardziej odległych nawet wsi, rzucały chłopom hasła popierane przez papę i właściciela ziemskiego. „Na wsi całą wiedzę czerpie się z „Russkogo Słowa”. Popelniliśmy błąd pozostawiając tak długo gazety w ręku burżuazji. Musimy iść naprzód, ku nowemu społeczeństwu i traktować gazety burżuazyjne w ten sam sposób, w jaki potraktowano gazety reakcyjne w lutym i w marcu”.

Pozostawianie broni, jaką jest prasa w ręku przeciwnika jest równie niebezpieczne, jak pozostawienie mu karabinów, armat i karabinów maszynowych. Nie wolno było dopuścić, by do bomb atamana Kaledina przyłączyły się bomby kłamstwa. Niektórzy komisarze, Łozowski i Riazanow, grozili dymisją, pod wpływem argumentów ideologów burżuazji. Lenin nie ustąpił, utworzył komisję dla zbadania więzów łączących prasę z kapitałem finansowym i zażądał, by całkowita kontrola papieru i drukarni spoczywała w rękach robotników i chłopów.

Wśród nędzy, zimna i głodu, dzień i noc huczały maszyny rotacyjne i linotypy, by zaspokoić głód wiedzy, dać książki ludowi.

Wszystko trzeba było przerobić, zmienić. Przede wszystkim umyśli. Samowładztwo opierało się na ignorancji, przesądach i potęgę ciemnoty. Gdy cierpienia mas stawały się zbyt dotkliwe, urządzano procesje: lud szedł za swymi ikonami, błagał o zmilowanie „batuszki-cara”, który przyjmował go nahażkami i kulami swoich kozaków. Od wieków zakuty w kajdany ciemnoty, pozbawiony wiedzy lud czuł, że drukowane słowo ma tę magiczną władzę, która przyniesie mu siłę i światło, że książka stanie się narzędziem wyzwolenia. Gorkij w swoich książkach wyraził tę naiwną i zachwycającą wiarę biednych w potęgę myśli, skonkretyzowaną na papierze.

Głód wiedzy, tak długo hamowany — pisze John Reed w „Dziesięciu dniach, które wstrząsnęły światem — wybuchł z nadejściem rewolucji z niebawem siłą. W samym tylko Smolnym drukowano w ciągu pierwszego półrocza tony literatury, które wysyłane wagonami i furgonami nasycały kraj. Rosja chłoneła książki nie nasycona, jak gorący piasek pochłania wodę. Nie były to proletkowskie powieści lub jarmarczna literatura, lecz teorie ekonomiczne i społeczne, filozofia, dzieła Tolstoja, Gogola, Gorkija... Byliśmy na froncie, w dwunastej armii, za Rygą: ludzie bosi, obdarci, toną w błocie okopów, na nasz widok wychodzą z okopów, twarze mają zmęczone, ich sina z zimna skóra prześwieca przez podartą odzież: pytają nas chwiejnie: „Czy przywieźliście coś do czytania?”

Związek Radziecki przystąpił niezwłocznie do wypełnienia gigantycznego zadania o pierwszorzędnym znaczeniu: zetknąć z kulturą 150 milionów mężczyzn i kobiet i, przede wszystkim, nauczyć te masy czytać i pisać.

Należało zlikwidować analfabetyzm, otworzyć wszędzie szkoły, w których uczono by rachunków, przyrody, geografii, ekonomii politycznej, historii pracy.

We wszystkich miastach otwarto szkoły partyjne, w których kształcili się przyszli żołnierze i twórcy nowego świata.

Zwiększała się i wzbogacała swoje zasoby sieć bibliotek. Najmniejsza wioska miała swój klub — izbę, w której można było znaleźć liczne pisma i broszury, gdzie wieczorami zbierali się ci, którzy nie potrafili czytać, aby posłuchać młodego robotnika z miasta, czytającego na głos w kręgu brodatych i pomarszczonych twarzy i zachwyconych oczu.

Ruchome biblioteki jeździły z miasta do miasta: pociągami lub statkami. „Pociąg propagandowy — opisuje Krupska — z książkami zatrzymał się we wsi. Natychmiast przed wagonem, w którym była biblioteka, sformowała się długa kolejka, która rosła bez przerwy. Widać tam było stare kobiety, starców, młodych chłopów z workami. Zdawało się, że ci ludzie kupią wszystkie książki, które znajdowały się w wagonie, lecz dla tej wsi była przeznaczona tylko niewielka ilość z tego bogactwa, którym trzeba było przecież obdzielić i innych...”

* * *

Zadanie rozprzestrzenienia literatury wśród mas nie było ani łatwe ani proste. Brak papieru był tak wielki, że niektóre gazety drukowano na arkuszach zadrukowanych już z odwrotnej strony. Dziennik „Moriak” na przykład drukowano na odwrocie arkuszy monopolowych, na których przedniej stronie były już poprze-

dnio wydrukowane banderole do pudełek z papierosami.

W tym samym okresie, w którym kolportowano książki, komuniści dokonali poważnej selekcji w przejętym dziedzictwie kulturalnym. Zatrzymali jedynie to, co miało istotną wartość. Większość arcydzieł została poważnie okrojona za czasów carskich. Całe rozdziały „Zmartwychwstania” zostały całkowicie zmienione przez cenzorów, sens wierszy Niekrasowa był zniekształcony (tam, gdzie poeta pisał: „wisiał” — cenzor zmienił na „siedział”). Lenin polecił, by przywrócono tekstom ich pierwotne brzmienie, i najlepsi specjaliści zajęli się tą pracą.

Mimo braku papieru i rozlicznych trudności przystąpiono niezwłocznie do druku klasyków literatury rosyjskiej: Puszkina, Lermontowa, Gogola, Tolstoja, Turgieniewa, Dostojewskiego, Gonczarowa, Ostrowskiego, Rylejewa — dekabrysty, poety wolności. W ciągu 1918 i 1919 roku, w okresie wojny domowej, gdy krajowi zagrożeni cudzoziemską inwazją, dzieła te osiągnęły nakłady od 25 do stu tysięcy egzemplarzy. Jednocześnie wydawano tłumaczenia Zoli, Barbuse’a, Romain Rollanda, France’a, Merrima’go, Waltera Scotta, materialistów francuskich XVIII wieku i innych. Socjologia, ekonomia polityczna, historia były przedmiotem specjalnej pieczy. Masowo kolportowano dzieła Marksa, Engelsa, Plechanowa, Czernyszewskiego, Bielinskiego, Bebla, Kautsky’ego, Pokrowskiego, Blanca, Jauresa, Aularda... Ci bolszewicy, których przeciwnicy przedstawiali jako podpalaczy, burzycieli, wandal, ci bolszewicy, których oskarżano o barbarzyństwo i sektarianstwo, otworzyli ludowi wrota kultury, skrzętnie i z pietyzmem zbierali wkład intelektualny przeszłości, dzieła pisarzy, którzy nie byli ani socjalistami ani komunistami, wówczas gdy wkład ten i te dzieła mogły służyć ludzkości w jej marszu ku przyszłości wyzwolenia i postępu.

Lenin wielokrotnie nalegał na konieczność obfitego czerpania z dóbr minionych stuleci. „Trzeba przyjąć całą kulturę pozostawioną przez kapitalizm i zbudować przy jej pomocy socjalizm. Trzeba przejąć całą naukę, technikę, całą wiedzę i sztukę. Bez tego nie będziemy mogli zbudować komunistycznego społeczeństwa. A ta wiedza, ta technika i ta sztuka są w rękach i w mózgach specjalistów”. (Przemówienie z dnia 13 marca 1919 roku). „Marksizm zdobył sobie światowe znaczenie historyczne jako ideologia rewolucyjnego proletariatu przez to, że daleki od odrzucania najcenniejszych zdobyczy epoki mieszczańskiej, przyswoił sobie, przekształcając je, wszystkie owoce przeszło dwutysiecznoletniego rozwoju myśli i kultury ludzkiej” (Tezy o Proletkulcie 8 października 1920 roku).

Lenin oponował przeciwko zamknięciu klasy robotniczej w sztucznie wytyczonych ramach „literatury dla robotników”, kultury specjalnej, która błędnie nazywana „kulturą proletariacką”, a która odrzucając dziedzictwo ogromnego wysiłku ludzkiego doprowadziłaby tylko do pomniejszenia i zubożenia. „Kultura proletariacka powinna pojawić się jako naturalne rozwinięcie sumy wiedzy osiągniętej przez ludzkość w całym społeczeństwie kapitalistycznym, feudalnym i biurokratycznym” (Przemówienie na Kongresie Młodzieży Komunistycznej, 2 października 1920 roku).

Sztuka jest własnością ludu. Nie powinna być udziałem rzekomej elity, nie powinna zamykać się w niedostępnych wieżach z kości słoniowej. Skończył się rozdział między książką a życiem! Ten najbardziej żalosny rys dawnego społeczeństwa mieszczańskiego powinien zniknąć. „Czy można podawać stodkie i delikatne ciasteczka nieznacznej mniejszości, wtedy gdy masy robotnicze i chłopskie nie mają nawet czarnego chleba? — mówił Lenin do Klary Zetkin. Nie, sztuka musi być zrozumiała i kochana przez masę. Powinna podnieść je na wyższy poziom, wydobyc z nich artystów.”

Gdy oświata będzie powszechna, lud stworzy naprawdę nową sztukę — sztukę istotnie wielką, sztukę komunistyczną, której formą będzie odpowiadała treści. „Idźcie w masę, służcie ludowi, spłaćcie wasz dług wobec rewolucji proletariackiej!” — żądał Lenin od pisarzy. „Uczcie się, nie wierzcie w ciepłą kulturalną kulturę proletariacką, przyswojcie sobie zdobycze kultury mieszczańskiej w warunkach naństwa radzieckiego”.

* * *

Z jaką troskliwością, z jaką uwagą i defekatywnością pochylał się Lenin nad pisarzami!

Jak dobrze ich rozumiał, jak odkrywał w nich to co mogło pomóc proletariatu w jego walce! Robił to nawet wówczas, gdy pisarze ci należeli do klasy wrogiej, jak na przykład Tolstoj, ten wielki pan feudalny, który przeklinał wzrost kapitalizmu. Lenin widział w Tolstoju zwierciadło rewolucji 1905 roku, gdyż Tolstoj odzwierciedlał przeciwieństwa i specyficzną psychologię rosyjskiego chłopstwa. „Przed tym hrabia — rzekł kiedyś do Gorkija — nie było prawdziwego chłopstwa w literaturze”.

W stosunku do pisarzy, którzy byli związani z ludem i brali udział w jego walce, Lenin miał stosunek braterski. Gdy Serafimowicz, który po wybuchu wojny domowej pracował nad „Zelą” w połonim, stracił w 1920 roku swój walczący w Armii Czerwonej, Lenin pisał do niego:

„Pragnę wam powiedzieć, jak bardzo wasza praca jest potrzebna robotnikom i nam wszystkim i jak bardzo musicie być teraz wytrwali, aby zwyciężyć wasz smutek i zmusić się do powrotu do pracy”.

Dla Gorkija był Lenin zawsze pełen wyrozumiałości i uwagi. Gdy w roku 1919 gazety burżuazyjne pisały o rozdźwiękach między Gorkim i partią, Lenin odpowiedział im w sposób bardzo ostry, podtrzymując równocześnie na duchu wielkiego pisarza.

Gdy Gorkij po wybuchu rewolucji lutowej popełnił błędy polityczne, Lenin nie stracił do niego zaufania i oświadczył, że autor „Matki” okaże się jeszcze bardzo użyteczny dla ruchu proletariackiego. Przyjaźń i geniusz Lenina poważnie wpłynęły na to, że Gorkij stanął szybko w pierwszym szeregu walki rewolucyjnej.

Lenin — obrzym rewolucji proletariackiej, Lenin, jednocześnie tak bardzo rosyjski i tak głęboko międzynarodowy, był najgorętszym obrońcą kultury, gdyż reprezentował klasę, która przejęła, wskazała i kontynuowała całą kulturę przeszłości. Tę kulturę znał Lenin dokładnie — od rosyjskich klasyków do Barbussa'a i Bernarda Shaw i od Beethovena do Borodina. Lenin nie był w niczym podobny do uczonych, którzy dojrzewali w swoich laboratoriach, do ideologów zasklepionych w swoich systemach, do przywódców politycznych mieszczaństwa, których horzont jest zwężony interesami ich klasy. Lenin, przywódca klasy nadchodzącej, przyswoił sobie i przemysłał marksizm, który sięga swymi korzeniami w filozofię niemiecką, w angielską ekonomię klasyczną i w utopijny socjalizm francuski. Lenin wzbogacił marksizm przystosowując go z kolei do warunków epoki imperializmu.

Lenin założył podstawy społeczeństwa, które ma za cel pełny rozwój jednostki, państwa, które opiera się na prawdziwej demokracji, oświatę i wychowanie nie tylko dla jednej klasy uprzywilejowanych lecz dla całego narodu, państwo, w którym techniczny i kulturalny poziom robotnika wznosi się do poziomu inżynierów i techników, gdzie chłop staje się jednocześnie mechanikiem i agronomek, gdzie rozwija się płomienna religia kultury, gdzie człowiek uważany jest za najcenniejszy kapitał.

W tym zapewne kryje się „sowiecka tajemnica”, sekret rosyjskiej potęgi i jej zwycięstwa nad „niezwykłą” techniką niemiecką. Zwyciężył nowy człowiek korzystając ze zdobyczy techniki i nauki, ożywił płomienną wiarą w przyszłość człowieka. Swoim zwycięstwem ukazał całemu światu, że droga kultury była drogą Lenina.

lum, Paweł Hertz

ADAM SCHAFF

Nowa teoria języka profesora Marra

PROBLEM GENEZY JĘZYKA

Oficjalna lingwistyka zabiera się bardzo niechętnie do zagadnienia genezy języka. A jeśli wychodzi poza ramy „pozytywnych” badań i rozpatruje ogólnoteoretyczne zagadnienie, związane z pochodzeniem i rozwojem języka, to czyni to z metafizycznych pozycji.

Szczególnie jasno występuje to w teoriach, które stoją na stanowisku boskiego wyjątkowego naturalnego pochodzenia języka. Tak np. dla Humboldta, Herdera, kardynała Schmidta, język jest darem boskim. Niewiele od tej teorii różni się stanowisko tych, dla których źródłem języka jest instynkt. Tacy lingwiści, jak Heise, Renan, Müller, uważają język za produkt instynktu. Dla nich człowiek rodzi się jako stworzenie mówiące i myślące.

Lecz jeśli odrzucimy te pseudoteorie i zwrócimy się ku koncepcji ewolucyjnej, to zobaczymy, że nawet najlepsze przedstawiciele ewolucjonizmu nie mogą wyjaśnić do końca problemu genezy języka i pozostają w granicach teorii naturalnego jego pochodzenia. Przyjmując za punkt wyjścia ewolucję języka dźwiękowego od nieodróżnianych zwierzęcych dźwięków do dźwięków artykułowanych, uważają, że język rozwinął się drogą naturalną i źródło jego leży w naśladowaniu dźwięków, ruchów ust i t. p. (Geiger).

Zbliżona do tych teorii jest koncepcja afektywnych krzyków Noire, która twierdzi, że mowa tkwi w swych korzeniach w spontanicznych dźwiękach, wydawanych przy pracy (okrzyki rytmiczne, śpiew itd.). Teoria ta posiada strony dodatnie, wiąże bowiem genezę języka z procesem pracy, nie jest jednak zdolna wykryć ich rzeczywistej więzi i pozostaje w ramach koncepcji pochodzenia naturalnego.

Teorie te również niezadowolone są wyjaśnić związku między myśleniem i językiem. Obracają się w błędnym kole dwu skrajności: z jednej strony idealistycznej absolutyzacji myślenia, dla której mowa jest zewnętrznym dodatkiem, z drugiej absolutyzacji języka, teorii jeszcze dziwniejszej, która przyjmuje, że ludzie mogą mówić niezależnie od tego, czy myśla, czy też nie.

Markszm, wychodząc z przesłanek historycznego materializmu, wyjaśnia genezę języka i jego stosunku do myśli wiążąc go z potrzebami procesu pracy i przekształcając tym samym wszystkie idealistyczne i metafizyczne koncepcje. Proces pracy, który leży u podstaw wszelkich dalszych różnic między człowiekiem i zwierzęciem, jest swoją drogą uwarunkowaną organizacją cielesną człowieka. Marksizm nie ogranicza się do tego twierdzenia, lecz bada genezę organizacji cielesnej i jej wpływ na rozwój człowieka.

Potrzeba porozumiewania się powstała, wedle Engelsa, wraz z procesem pracy, jako jeden ze środków realizacji tego procesu. Praca formuje człowieka fizycznie i psychicznie, ona warunkuje jego potrzebę porozumiewania się na tej podstawie powstaje i środek porozumiewania się — język.

Markszm nie zatrzymuje się w połowie drogi, i bada również konsekwentnie zagadnienie stosunku wzajemnego języka i myśli. Ich jedność jest uwarunkowana wspólnym pochodzeniem. Marks pisze wyraźnie w „Niemieckiej ideologii”, że „ani myśl, ani język nie tworzą same przez się odrębnych dziedzin, że są one tylko przejawem życiowej rzeczywistości”. Korzenie myśli jak i języka tkwią w materialnym byciu.

Lecz myśl i język wedle Marksa i Engelsa, to nie tylko niezbędne formy przejawiania się rzeczywistości, lecz formy nie rozdzielne z sobą związane, tworzące dialektyczną jedność. Nie ma myśli bez słowa, które jest środkiem jej realizacji, lecz i na odwrót, nie ma słowa bez myśli, stanowiącej jego treść, bez której jest ono pustym dźwiękiem.

Bezpośrednia rzeczywistość myśli — to język. W tym zdaniu Marksa zawarta jest idea jedności myśli i słowa, ukazująca ono konkretną treść tej jedności

pojmując słowo jako realizację myśli.

W ten sposób na bazie genetycznej jedności myśli i języka marksizm rozwiązuje problem ich stosunku.

Prace rosyjskiego współczesnego językoznawcy Marra i jego szkoły nie tylko potwierdzają, lecz jednocześnie konkretyzują i rozszerzają zasadnicze tezy dialektycznego i historycznego materializmu w danej kwestii.

Marr rozpoczął swą drogę jako zwolennik teorii indoeuropeizmu, lecz w ciągu swej długotrwałej pracy przekroczył jej ramy i podszedł bezpośrednio do marksizmu. Jest szczególnie interesujące, że drogą tę przebył zupełnie samodzielnie nie odczuwając bezpośredniego wpływu teorii marksizmu. Zbliżyło go doń studium konkretnego materiału lingwistycznego, etnologii i archeologii, które udało mu się złączyć w jedną całość.

JĘZYK GESTÓW

Widzieliśmy wyżej, że jeśli nawet lingwistyka stawia zagadnienie genezy języka, to szuka ratunku w wulgarnym ewolucjonizmie, w koncepcji naturalnego pochodzenia języka. Język ludzki jest z tego punktu widzenia kontynuacją i rozwojem krzyku zwierzęcego, afektywnych dźwięków. Rozwój języka w takim ujęciu może się odbywać i bez udziału świadomości i woli. W rzeczy samej zagadnienie nie zostało tu rozstrzygnięte, gdyż zupełnie nie jest wyjaśnione, dlaczego właśnie człowiek rozwinął z dźwięków zwierzęcych, język, a inne rodzaje zwierząt nie potrafiły tego osiągnąć.

Teoria ręcznego języka Marra wysuwa to zagadnienie niezwykle ostro.

„Nie istniały — pisze Marr — żadne słowa naturalne. Słowa powstały, gdy zaczął się układać język dźwiękowy dla zaspokojenia potrzeb, wynikających z rozwoju życia gospodarczego i społecznej struktury kolektywów w ramach osiągniętej w tym czasie techniki i w zależności od myślenia tych epok.

Lecz słowa tworzyły się nie na pustym miejscu, na drodze abstrakcyjnego myślenia, chociaż w powiązaniu ze społeczeństwem i jego materialnymi przesłankami oraz światopoglądem, lecz na drodze stopniowego dialektycznego rozchożenia się z językiem kinetycznym, językiem gestów i mimiki, obok których elementy języka dźwiękowego stanowiły długo jeszcze tylko materiał pomocniczy, ograniczając się do kręgu przedmiotów i przedstawień o charakterze magicznym.

Gdy zaś język dźwiękowy został ułożony i wyszedł za ramy potrzeb magii w świat codziennych przedmiotów i przedstawień, zwycięzca rozgromionego języka kinetycznego zabrał wszystkie osiągnięcia języka liniowego. Pierwotne słowa i pochodne twory języka dźwiękowego były tylko przekładem liniowych lub kinetycznych symboli, sygnalizowanych przy pomocy rąk — na symbole dźwiękowe. I, oczywiście, technika tego przekładu, w ogóle technika budowy słowa była różna nie tylko formalnie, ale i ideologicznie, jak i myśli na rozmaitych stadiach ludzkiego rozwoju” (N. J. Marr: Po czemu tak trudno stał lingwistom — teoretykom? w „Językowiedzie i marksizm” Leningrad 1929, str. 39-40).

Rozmaici badacze jeszcze długo przed Marrem stwierdzili u ludów prymitywnych istnienie języka ręcznego obok dźwiękowego. Język ręczny spotykamy nawet u wysoko kulturalnie rozwiniętych narodów (np. na Kaukazie) w postaci skandynawskich przeżytków, jako język specyficznie żeński, używany w specjalnych, przewidzianych przez kult, wypadkach. Rozpoczynając od badań języka gestów, przeprowadzonych wśród czerwono-skórych Ameryki Północnej przez pułkownika Mollery, zagadnieniu temu poświęcono od XIX wieku wiele uwagi i z pewnego punktu widzenia został on dokładnie zbadany. Dotyczy to nie tylko jego strony formalnej, jego środków i składni, ale również i związku z myśleniem.

Tak np. Levy — Brühl w swych badaniach pierwotnego myślenia podchodził bardzo głęboko do tego zagadnienia wskazując, że obrazowy charakter języka gestów odzwierciedla prymitywny poziom myślenia używających go kolektywów i, na odwrót, język ten wpływa ze swej strony na proces myślenia.

Tym zagadnieniem zajmuje się i Ribot, który wprost oświadcza, że konkretny obrazowy charakter języka analitycznych gestów uniemożliwia przekazywanie przy jego pomocy abstrakcyjnych pojęć.

Na ten problem zwraca uwagę również Wundt w swojej „Psychologii narodów” (Völkerpsychologie). Funkcją rąk, wedle Wundta, są ruchy chwytające, które rozwijają się następnie we wskazywanie. Z ich pojawieniem się człowiek dokonuje zdecydowanego przejścia od świata zwierzęcego do nowego etapu rozwoju. Zrozumienie, poznanie przedmiotu, było pierwotnie identyczne z jego chwytaniem, z wrażeniami dotykowymi. Posiadało ono wówczas wyraźnie konkretny, obrazowy charakter. Dla udowodnienia słuszności tej hipotezy Cassirer odwołuje się do etymologicznej analizy odpowiednich terminów w języku niemieckim — [„greifen” — chwycić oraz „begreifen” — rozumieć].

Zasługą Marra jest nie odkrycie języka gestów, lecz zrozumienie go i wyjaśnienie. Dla wszystkich badaczy, którzy jeszcze przed Marrem skonstatawali istnienie ręcznego języka, był on pewnym kuriozum, właściwym prymitywnej psychice pierwotnych kolektywów, lub też późniejszym dodatkiem do języka dźwiękowego. Właściwy sens języka ręcznego pozostał niezrozumiany. Jedynie Marr przy pomocy paleontologii języka, opartej o semantykę — naukę o znaczeniu słów — potrafił w pełni wyllumaczyć to niezwykle ciekawe zjawisko. Etymologia wielkiej ilości słów wskazuje na ich pochodzenie od źródłosłowa „reka”. Z drugiej strony analiza materiału fonetycznego języka dźwiękowego wykazuje, że całe jego bogactwo można odnaleźć w czterech pierwotnych kompleksach dźwięków, których przeobrażenia stanowią podstawę naszego języka. Porównawcze badanie lingwistyczne, przeprowadzone przez Marra na materiale języków żywych, jak i paleontologii języka, doprowadziły go do wniosku, że pierwotnym środkiem porozumiewawczym był język gestów, lub szerzej — język liniowy. Potrzeba komunikacji w ścisłym tego słowa znaczeniu powstaje w procesie pracy. Lecz pierwotny język nawet dźwiękowy posiada charakter czysto produkcyjny, nie służy do rozmowy. Jest on elementem procesu pracy i środkiem do jego uwewnętrznienia, jest to organ działający w produkcji — ręka.

Marr podobnie jak Engels, podkreśla specjalne znaczenie ręki nie tylko w procesie pracy ale i w procesie formowania psychiki człowieka.

Pierwszą formą języka, jak wykazuje badanie genetyczne, był język ręczny. W miarę komplikacji procesu produkcji pojawiają się elementy dźwiękowe, wywodzące się z afektywnych, nieswiadomych okrzyków. Dźwięki te dopiero w ciągu długiego procesu rozwoju osiągają stadium dźwięków artykułowanych.

Język kinetyczny, liniowy jest więc wcześniejszy aniżeli dźwiękowy. Do tego wniosku Marr dochodzi i inną drogą. Dla niego język i myślenie stanowią nierozdzielną jedność. Język, wedle Marra, to rzeczywistość myśli. A więc, gdy myśl była konkretna, obrazowa, język musiał być liniowy.

„Pierwszy język ludzki — pisze Marr w „Etapach rozwoju jafetyckiej teorii” — nie był dźwiękowy. Nie tylko nie był dźwiękowy, ale być nim nie mógł, gdyż ludzkość uświadamiała sobie i spozostawała otaczający świat w obrazach, dla których przekazania nie nadawałyby się dźwięki i w tym wypadku, gdyby były do rozporządzenia”.

Jakże wyllumaczyć powstanie języka dźwiękowego, który wobec istnienia potocznojęzyka ręcznego był zupełnie niepotrzebny? Marr illumaczy jego genezę kulowym charakterem dźwięków, które pierwotnie służyły celom produkcji. Przyoznym zwycięstwa języka dźwiękowego w jego walce z ręcznym należy, wedle Marra, doszukiwać się w niemożliwości wypełnienia przez język ręczny tych zadań, które stawiał rozwój produkcji. Ogólna dostępność języka liniowego była jego silną stroną. Z drugiej strony był on jednak obarczony szeregiem braków, tym zwłaszcza, że nie można go było używać w ciemności. Ten praktyczny wzgląd z jednej strony oraz konieczność przystosowania języka do nowego etapu rozwoju myśli z drugiej — zdecydowały o zwycięstwie języka dźwiękowego.

Jeżeli jednak między stanem zwierzęcym i językiem dźwiękowym leży cała epoka języka liniowego, trwająca setki tysięcy lat, to nie może być mowy o naturalnym jego pochodzeniu.

POCHODZENIE JĘZYKA

Koncepcja ręcznego języka, potwierdzona faktami, wysuwa z całą ostrością problem pochodzenia języka.

Język, wedle Marksa, może powstać tylko wówczas, gdy powstaje potrzeba komunikowania sobie czegoś. A potrzeba ta pojawia się tylko w kolektywnym procesie pracy.

Oddamy teraz słowo samemu Marrowi dla wyłożenia jego koncepcji. „Jafetycka teoria uczy nas — pisze Marr — że język dźwiękowy, na żadnym etapie swego rozwoju, w żadnej swej części nie jest prostym darem przyrody. Język dźwiękowy jest tworem ludzkości. Ludzkość stworzyła swój język w procesie pracy w określonych warunkach i przetwarza go z nastąpieniem rzeczywistości nowych społecznych form życia i bytu zgodnie z nowym myśleniem w tych warunkach. Wynika z tego, że naturalne języki nie istnieją na świecie. Wszystkie języki są sztuczne, wszystkie są stworzone przez ludzkość i ich sztuczność charakteru nie zmienia faktu, że przechodzą one w drodze pułczyny od jednego pokolenia do drugiego, jakby dar przyrody, wessany z mlekiem matki w wieku dziecięcym.

Korzenie języka tkwią nie w zewnętrznych warunkach przyrody, nie w nas samych wewnątrz naszej fizycznej natury, lecz w społeczności, w materialnej podstawie, gospodarstwie i technice” (Marr Jafetyczska teoria, Baku, 1928, str. 18-19).

POLSKIE RADIO

POSZUKUJE

SPEAKERA i SPEAKERKI

posiadających następujące kwalifikacje:

- 1) nieskazitelną dykcję,
- 2) umiejętność biegłego czytania w kilku językach europejskich,
- 3) znajomość:
 - a) historii powszechnej i historii literatury światowej,
 - b) historii muzyki i nomenklatury muzycznej,
 - c) zagadnień i nazwisk świata politycznego,
- 4) dar szybkiej orientacji i wysoka kulturę osobistą.

Osobom zaangażowanym na to stanowisko Dyrekcja Polskiego Radia zapewnia specjalnie korzystne warunki materialne.

Zgłaszać się należy z podaniem i życiorysem do Naczelnika Wydziału Emisji, Warszawa, Polskie Radio, Al. Stalina 31, w godzinach od 10-13-ej.

Ostateczny termin zgłoszeń upływa dnia 1 maja b. r.

We wszystkich swych pracach (np. „Język i myślenie”), Marr ostro odcina się od teorii, bliskich koncepcji naturalnej genezy języka i podkreśla jego związek z materialnymi warunkami życia społeczeństwa.

Produkcja i jej potrzeby nie tylko leżą u źródeł języka, ale sam on jest elementem produkcji, jej częścią składową. Człowiek pierwotny nie podniósł się jeszcze do takiego stopnia rozwoju, by mógł wydzielić z jedności, jaką tworzy produkcja i język, — myślenie, jeden z elementów jako czynnik samodzielny.

Pierwotnie więc język gra rolę elementu składowego produkcji, służy nie rozmowie, lecz produkcji.

Ten ścisły związek języka z procesem pracy, ich pierwotna jedność, tłumaczą fakt powstania racjonalnego języka. Reka była tym narzędziem produkcji, które w danych warunkach mogło służyć i służyło jako organ mowy początkowo produkcyjnej, a następnie służącej celom rozmowy.

Gdy zwierzę, w miarę swego ucziłowienia, wraz z rozwojem procesu pracy, zaczyna uświadamiać sobie komunikacyjną funkcję języka, w kolektywie powstaje potrzeba porozumiewania się. Porozumiewać się człowiek pierwotny mógł tylko przy pomocy ręki. Reka, to chwytajaco-produkcyjne narzędzie, które wedle Engelsa określiło skok ze świata zwierzęcego do ludzkiego, było naturalnym środkiem ukazania przedmiotu działania.

Należy jednak unikać wulgaryzacji teorii Marra.

Marr podkreśla związek nadbudowy ideologicznej z produkcją jako podstawą. Dla niego zmiany form języka i myślenia są odpowiednikiem zmian materialnej podstawy. W badaniach Marra jasno występuje ścisły związek między zmianą form produkcji, przejściem do sztucznych narzędzi produkcji i zmianą form języka i myślenia, przejściem do logicznego myślenia, myślenia pojęciami i do języka dźwiękowego. Nie wolno jednak mieszać pojęcia związku z pojęciem bezpośredniej przyczynowości. To byłoby wulgaryzacją, nieusprawiedliwioną zresztą przez samą teorię Marra.

Nowa teoria języka nie ogranicza swych badań tylko do genezy języka.

STOSUNEK MYŚLI I JĘZYKA

Marr konsekwentnie rozwija swe materialistyczne twierdzenia dotyczące genezy języka. Rezultaty tych badań stawiają go przed zagadnieniem stosunku myśli i języka.

Z punktu widzenia marksizmu, język i myślenie stanowią dialektyczną jedność. Stanowią one dwie strony jednego procesu. Język jest rzeczywistością myśli, materialnym jej przejawem. Myśl — to treść języka. Są one więc nie do pomysłienia w izolacji, stanowią prawdziwą jedność. Jasne, że ten ich związek warunkuje również i wzajemną zależność rozwoju. Rozwój jednego z członów wskazuje na rozwój drugiego. Rozwój myśli jest niemożliwy bez dynamiki środków jej wyrażenia i na odwrót, rozwój języka jest możliwy tylko przy ewolucji jego treści-myśli.

Do tych samych rezultatów dochodzi Marr na podstawie konkretnego materiału semantyki i paleontologii języka.

Jedność języka i myślenia wypływa z jedności ich podstawy. Potrzeby produkcji, materialne warunki życia społecznego, określają rozwój zarówno myślenia, jak języka. Pierwotnie myślenie i język są składowymi elementami produkcji, nie wydziela się z niej. Dopiero na wysokim stopniu rozwoju uzyskują samodzielny, choć związany z innymi elementami byt.

Zrozumienie jedności języka i myślenia w ich genezie i dalszym rozwoju posiada zasadnicze znaczenie dla dalszego zrozumienia ich stosunku wzajemnego.

Bogaty materiał faktyczny stanowi podstawę teorii stadijalności języka Marra. Z chwilą, gdy język i myślenie odłączają się od produkcji, droga rozwojowa prowadzi od języka liniowego, którego ukoronowaniem był język ręczny, przez język dźwiękowy o charakterze produkcyjno-magijnym, który jest podporządkowany racjonalnemu i działa w ramach jego ideologii, do pełnego zyciowości języka dźwiękowego. Odpowiednikiem tego rozwoju języka jest rozwój myśli od myślenia obrazowego konkretnego i z w. przedlogicznego okresu, do myślenia logicznego, operującego abstrakcyjnymi pojęciami. Stadijalność języka przenosi się na stadijalność myśli, a podstawą tej operacji jest ich genetyczna jedność.

Jeśli jednakże przed powstaniem nowej teorii języka przyjęty był podział ogólny na myślenie przed-logiczne i logiczne, to nowa teoria języka daje pełne odbicie stadijalności rozwoju myślenia i na przedlogicznym etapie rysując jednocześnie zmiany, zachodzące w dziedzinie języka.

Teoria Marra rysuje następujący obraz rozwoju.

Pierwszym etapem rozwoju psychiki jest, wedle terminologii „Niemieckiej ideologii” świadomość stadowa. Zwierzę na drodze swego ucziłowienia zaczyna sobie uświadamiać swe istnienie jako jednostki i jednocześnie istnienie przyrody, początkowo jako przeciwstawnej mu sily.

Na tym etapie nie ma jeszcze właściwego języka, jest on produkcyjny. Panuje wówczas język liniowy, język gestów,

który najwyżej został rozwinięty w języku ręcznym. Dźwięki towarzyszą wówczas tylko afektom.

Następny etap rozwojowy Marr nazywa świadomością kosmiczną, względnie mitologiczną. Prymitywne uświadomienie sobie ludzkiego kolektywu i otaczającej go rzeczywistości prowadzi do wyodrębnienia człowieka z przyrody, zarazem jednak niezrozumienie jej praw staje się przyczyną przeciwstawienia przyrody człowiekowi. Działanie siewa się jeszcze z działającą osobą.

Wskutek wyodrębnienia człowieka z przyrody zjawia się podmiot, który przechodzi jednak określoną drogą rozwojową. Mitologiczna świadomość, nie pojmując początkowo przyrody uważa ją za element aktywny, a człowieka za element bierny.

Dalszy etap to świadomość aktywnie-mitologiczna, dla której elementem czynnym jest człowiek, chociaż zachowuje swia łopogląd mitologiczny. Ten mitologiczny podmiot jest nazwany przez Marra „lo-temem” i stąd ten cały etap rozwoju myślenia nazywa się w terminologii Marra „myśleniem lolemicznym”. Na tym etapie pojawia się język dźwiękowy. Zaczyna się nowa epoka rozwoju myśli i języka, chociaż ten język dźwiękowy gra tymczasem rolę podporządkowaną i jako moment produkcyjno-magiczny pozostaje w ramach ideologicznych języka ręcznego.

Dalsza droga rozwojowa prowadzi nie tylko do jakościowej krystalizacji podmiotu (który tworzy się z przedmiotu w światłopoglądzie kosmicznym), ale i do ilościowej (wyodrębnienie jednostki z kolektywu). W parze z ewolucją świadomości idzie rozwój języka dźwiękowego, powstanie nowych części mowy. W ten sposób rodzi się logiczne myślenie. Epoka powstania języka dźwiękowego nie oznacza bynajmniej zatrzymania rozwoju.

W zależności od kolejnych zmian bazy gospodarczej, zmienia się i system języka dźwiękowego, zarówno w jego technice jak i w treści.

W swej pracy „Aktualne problemy i kolejne zadania jafetyckiej teorii” Marr odróżnia trzy stadia rozwoju języka: syntetyczne, aglutynatywne i flektywne. Pierwsza faza rozwija się na podłożu ustroju pierwotnego komunizmu. Język syntetyczny jest odpowiednikiem syntetycznego sposobu myślenia. Charakteryzuje go polisemantyzm słów, nierozróżnienie znaczenia głównego i funkcjonalnego, mieszanie całości i części, jednocześnie oznaczenie przeciwieństw.

JAN ROJEWSKI

Siedem dni

Słyszysz tu i ówdzie głosy ludzi zasadniczo niezadowolonych z naszej nowej rzeczywistości: jedni siedzą w lasach, drudzy pisują w prasie opozycyjnej. Jedni do lasu, drudzy do (anglo) Sasa. Tym ostatnim, ubiegły tydzień przyniósł gorzkie rozczarowanie. Churchill dał romantycznym głowom lekcję brytyjskiej trzeźwości. Nauka nie poszła w las. Nie poszła, bo o ile prasa PSL-owska zerwała w ciągu tych dni z tradycyjnym proangielskim (Wins) tonem, o tyle „chłopcy z lasu” w dalszym ciągu przelewała krew. Ale o tym następnym razem. Nauka poszła, zatem w PSL. Jest to pierwsza przysługa, którą Churchill wyświadczył Polakom. Za Tobruk, Narvik i Monte Cassino. Może nareszcie zrozumieją „Ludzie ze mgła” londyńska, że w aktach brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych „Polska” w ogóle nie figuruje. Ze od „Trzeciego rozbioru”, stronicę tuzzące ziem w dorzeczu Wisły są jedynie uzupełnieniem segregatorów zatyłowanych. badz „Germany”, badz „Russia”. O tym, czy „Germany”, czy „Russia”, Churchill decydował już niedługo. Zawsze powodowany oczywiście interesem Anglii. Nigdy oczywiście Polski. Czasem interesy Anglii zbiegały się, mimo woli Churchilla z interesami Polski. Tak było z lnią Curzona. To co ugruntowało sojusz polsko- sowiecki, było wtedy potrzebne Churchillowi dla ocalała Imperium. Bez żenady powiedział Andersowi „I beg your pardon” i zaakceptował „Linie Curzona: bo trzeźwo ocenili, że armie Żukowa, Rokossowskiego i Koniewa są więcej warte niż armia Andersa. Jako rekom-pensate obiecał „Dzielnym Polakom” Ziemię Zachodnią. Do aktów „Russia” przybyła jedna stronica. Miała ugruntować, potrzebną wówczas Anglii, przyjaźń Sowietów. Kiedy armia Żukowa zmiotła Berlin, Churchill zamknął segregator „Russia” i otworzył segregator „Germany”. Dla „Równogawiej europejskiej”. Znow bez żenady złamał słowo i Ziemię Zachodnią wpisał pod „Germany”. Ta stronica ma

W miarę rozwoju podstawy gospodarczej i społecznego podziału pracy, następuje wyodrębnienie części mowy w zdaniu, zaczyna się rozróżniać zasadnicze i funkcjonalne znaczenie słów.

Jednocześnie zmienia się i system myślenia. W swej pracy „Język i współczesność” Marr w następujący sposób klasyfikuje te systemy.

Syntetyczny sposób myślenia, któremu odpowiada syntetyczny język, operuje kolektywnymi wyobrażeniami. Wyobrażenia te posiadają konkretny charakter i tylko w słabym stopniu są zdolne do abstrakcji.

Analityczny system myślenia, na podstawie którego rozwija się aglutynatywny i flektywny system języka, posiada charakter logiczny. W tym systemie następuje odróżnienie całości od części, liczący pojedynczej od mnogiej, operuje on wysoko rozwiniętą abstrakcją, wyobrażeniami i pojęciami, które odrywają się od bezpośrednio danego przedmiotu.

PALEONTOLOGIA JĘZYKA

Trudność wykazania stadijalności rozwoju myślenia polega na tym, że nie rozporządzamy danymi dotyczącymi pierwszych jego etapów. Obecnie nie ma już kolektywów ludzkich stojących na tak niskim stopniu rozwoju, któremu odpowiadałby ręczny język. Musimy więc za-dowodzić się paleontologiczną analizą, która pozwala na wykrycie etapów rozwojowych do czasu powstania języka dźwiękowego, jako że słowa języka dźwiękowego są pierwotnie przykładem języka ręcznego na dźwięki.

Paleontologia języka odkrywa przed nami dwie cechy charakterystyczne pierwotnego myślenia — jego rozproszenie oraz konkretność.

Człowiek pierwotny nie jest zdolny do zanalizowania swych wrażeń zmysłowych i dlatego spostrzega świat w sposób nie różniczkowany i rozproszony, co znajduje swój wyraz w odpowiednich cechach języka.

Więcej nawet, pierwotnie język odbijając ten stan myśli, nie zna części mowy, zaczyna się w ogóle nie od słów, lecz od zdań. Kompleks dźwiękowy przekazuje określony stan produkcyjny, całą myśl. Dopiero z rozwojem produkcji, jej skomplikowania i potrzeb, zjawia się konkretność dokładniejszego myślenia i jego wyrażenia. Wraz ze zróżniczkowaniem myśli pojawia się zróżniczkowanie języka, rodzi się słowo i jego funkcja, powstają części mowy. Lecz i te słowa nie posiadają pierwotnie ściśle określonego sensu. Są

one wieloznaczne, co odpowiada również nierozróżnieniu i rozproszeniu myśli na tym etapie rozwoju.

„Język dźwiękowy — pisze Marr — zaczyna się nie od dźwięków, ani słów lub części mowy, lecz od zdań, od myśli aktywnej i następnie biernej, tzn. zaczyna się od składni, z której dopiero stopniowo wyłaniają się części zdania, określone umiejscowieniem ich w mowie”. (Marr, „Początek tak trudno stał lingwistom — teoretykom”, w „Językowiedzenie i marksizm”, Leningrad 1929, str. 37).

A w innym miejscu czytamy:

„Paleontologia mowy odkrywa przed nami stan języka, a więc i myślenia, gdy nie było jeszcze całkowitego wyrażenia myśli, nie było wyrażenia działania, tzn. nie było czasownika, orzeczenia, więcej nawet — nie było podmiotu, używając terminologii gramatyki scholastycznej. Jakaż mogła być myśl przy braku działania — orzeczenia, czasownika i podmiotu. Zupełnie po prostu: działanie było, lecz nie w wypowiedzeniu, ani w zdaniu, tylko w produkcji, i podmiot był, lecz nie w zdaniu, tylko w społeczeństwie. Jednak ani to działanie, ani ten podmiot nie występowały w zdaniu samodzielnie, nie występowały w języku ręcznym poza produkcją i stosunkami produkcyjnymi”. (Marr, „Język i myślenie”, Dzieła III, Moskwa 1934, str. 115).

Bezpośrednio związana z ukazanymi wyżej cechami jest konkretność i obrazowość myślenia. Myśl dlatego jest rozproszona, ponieważ jest obrazowa.

Marr widzi jasno i podkreśla tę tak ważną cechę pierwotnego myślenia — jego konkretny i obrazowy charakter, — który przeciwstawia go wyższym etapom myślenia, a mianowicie myśleniu pojęciowemu. Marr podkreśla, że myślenie człowieka pierwotnego było „nie oderwane, nie naukowe, nie logiczne, lecz konkretne, poetyckie, obrazowe, z pokrewieństwem słów symboli, jako wyrazieli obrazów”.

Paleontologia jednak nie tylko odkrywa przed logiczne stadia myślenia, ale wykazuje zarazem w jego rozwoju wpływ języka na dalszą stadijalną ewolucję myśli. Myślenie znalazło w języku dźwiękowym środek dalszej ewolucji na logicznym etapie swego rozwoju, narzędzie myślenia przy pomocy abstrakcyjnych pojęć.

Wspomnieliśmy wyżej o obrazowym, konkretnym charakterze języka liniowego. Język liniowy posługuje się ruchami lub schematycznym przedstawianiem rzeczywistości, jako znakiem konkretnego przedmiotu. Język ręczny posługuje się ruchami produkcyjnymi lub schematycznie przedstawia przedmiot drogą naśladowania jego cech charakterystycznych. Opracowanie umysłowe spostrzeganej rzeczywistości znajduje się tu jeszcze na najniższym poziomie i nie wychodzi za ramy konkretności. Mamy tu właściwie do czynienia ze znanymi w psychologii wyobrażeniami rodzajowymi.

Ten charakter myślenia decyduje również o funkcji języka na tym etapie rozwoju. Właściwie mówiąc, nie ma wówczas jeszcze języka dźwiękowego w ścisłym tego słowa znaczeniu, tylko kompleks dźwiękowy, który gra rolę pomocniczą w stosunku do języka ręcznego, stanowi przykład znaków liniowych na dźwięki.

Dźwięk pobudza pamięć do tychże czynności, co i znaki liniowe. Jest on jeszcze symbolem konkretnego przedmiotu, a samo myślenie jest obrazowe i konkretne.

Dalszy rozwój społeczny, przejście do sztucznych narzędzi i związane z tym przejściem do języka dźwiękowego, jako języka panującego, stanowią podstawę rozwoju abstrakcyjnego myślenia. Nowe warunki produkcji stanowią bodziec dla rozwoju myślenia, które ze swej strony jest podstawą dalszego rozwoju języka. Z drugiej strony język dźwiękowy staje się narzędziem nowego abstrakcyjnego myślenia, koniecznym warunkiem powstania myślenia pojęciowego.

Nowa teoria języka podkreśla, że myślenie abstrakcyjne stało się możliwe tylko dzięki powstaniu języka dźwiękowego. Nie należy jednak mieszać tego z błędną koncepcją prymatu języka nad myśleniem.

Marr doskonale rozumiał stosunek języka i myślenia, rozumiał ich dialektyczną jedność. Bez rozwoju myśli niemożliwe byłoby przejście do języka dźwiękowego, z drugiej jednak strony bez tego narzędzia byłoby niemożliwe abstrakcyjne myślenie, byłoby niemożliwe tworzenie pojęć.

Nowa teoria języka udowodniła następujące fakty:

Po — pierwsze, historyczny charakter pochodzenia języka i myślenia, ich związek z materialną podstawą społeczeństwa, z powstaniem nowych, sztucznych narzędzi produkcji.

Po — wtóre, nowa teoria języka wykazała dialektyczną jedność myślenia i języka. Rozumując w pełni, że odpowiedni rozwój myślenia jest koniecznym warunkiem powstania języka dźwiękowego, nowa teoria podkreśla zarazem konieczność języka dźwiękowego jako narzędzia logicznego myślenia.

Nowa teoria języka posiada dziś ogromny dorobek naukowy.

Prócz prac zmarłego Marra istnieją prace jego szkoły, która stała się ośrodkiem ożywionych badań w tej dziedzinie.

Marr często był w zagranicy i w ciągu szeregu lat wykładł w paryskiej Sorbonie. Mimo to prace jego znane są, jak dotąd, na zachodzie tylko małej garstce badaczy.

Adam Schaff

Wartości odżywcze mięsa zastępuje, podnosi wybitnie smak potraw

Ekstrakt drożdżowy B-vitam

zawierający kompleks witamin B₁ i B₂

WAŻNE dla organizacji państwowych i społecznych, wydających posiłki dla świata pracy

Informacji udziela i przyjmuje zamówienia: Państwowe Zjednoczenie Przemysłu Drożdżowego Warszawa, Marszałkowska 95

JAN SZCZEPANSKI

Nie przeceniajmy mistyki^{*)}

Przebieg rozwoju mistyki niemieckiej w ciągu ostatnich wieków, ze szczególnym uwzględnieniem rozkładu religijnego protestantyzmu i powstawania różnych sekt religijno-nacjonalistycznych — chociaż podany w sposób bardzo interesujący — nie zaspakaja jednak oczekiwania jakie w czytelniku budzi tytuł broszury Halbana. Broszura śledzi raczej genezę mistyki narodowego socjalizmu. Narodowy socjalizm był jednak czymś więcej niż tylko kierunkiem swolstej mistyki społeczno-religijnej. Hitlerizm był wyrazem imperializmu niemieckiego, i gdyby poza nim nie stała zorganizowana potęga Junkrów i przemysłu oraz polityczne dążenia drobnomieszczaństwa, to jego mistyka pozostałaby tylko — użyjmy wyrażenia Krzywickiego — „wiórami ideowymi przebiegu historycznego”. Mistyka, jaką głosił narodowy socjalizm, tzn. cała sfera irracjonalnych wierzeń w wyznaczający wpływ krwi, w historyczne, a nawet kosmiczne powołanie niemieckiego człowieka, jego wartość i ważność, wiara w „los”, przeznaczenie i konieczność dziejową najbardziej nierozumnych przejawów działalności politycznej wodzów narodu niemieckiego — była na pewno dalszym ciągiem tej linii rozwojowej, wywodzącej się z poglądów mistrza Eckarta, kontynuowanej przez wszystkich przedstawicieli „faustowskiej duszy” niemieckiej, „poszukiwaczy Boga” i pod tym względem zgadzamy się zupełnie z autorem. Lecz nie zgadzamy się z milcząco przyjętym założeniem, że ta mistyka jest istotą hitlerizmu, jak również nie zgadzamy się z subtelnym sugerowaniem, że właściwą i skuteczną zapórą przeciwko tej mistyce niemieckiej, może być tylko Kościół katolicki.

Autor wskazuje na ciekawy rys charakteryzujący kulturę niemiecką, mianowicie „kulturę oficjalnie panującą, względnie przeważającą po uniwersytetach racjonalizmu i materializmu różnego typu”, a równocześnie bujne krzewienie się różnych kierunków religijnych i światopoglądowych o często niskim poziomie myślowym. Ten nurt mistyczny, wyrażający się w sekcjach sekt religijnych i neopogańskich stanowi przedmiot rozważań Autora. „Oczywiście w związku z naszym zagadnieniem możemy się zająć tylko ruchami i kierunkami, które stwarzały tę bardzo znamieną mistykę znajdującą w końcu swoje ujście polityczne i narzędzie w ruchu narodowo-socjalistycznym. Ten ostatni nie był bynajmniej twórcą tej mistyki, lecz tylko jej skutkiem”. Mythos des XX Jahrhunderts jest tylko próbą syntezy różnych kierunków tego urtu na gruncie wspólnej wiary w niektóre cechy narodu niemieckiego.

Nie będę tu powtarzał toku wywodów Autora, w których, jak się wydaje, może zbyt mocno i nieuzasadnienie wskazano na doniosłość protestantyzmu w rozwoju niemieckich skłonności mistycznych. Nauka o predestynacji głoszona przez Kalwina w samych Niemczech znalazła mniej wyznawców, a reformacja Lutera była raczej w swej istocie otworzeniem drogi dla racjonalizmu. Sądzę również, że Autor nie oddzielił dosyć wyraźnie prądu ideologicznego wypływającego z apoteozowania pierwotnego „Germanentum” od dążności mistycznych wyrosłych na gruncie protestantyzmu, który niewątpliwie „przefilozofował” swoją teologię i tym wywołał mistyczne reakcje jak pietyzm itp. Wynikałoby stąd, że Autor sprowadza niemiecką mistykę jako całość do przejawów „duszy niemieckiej” nie wdając się w analizowanie historycznie wywołanych różnic między różnymi postaciami irracjonalizmu. Lecz do tych zastrzeżeń przywiązuję mniejszą wagę. Jeżeli bowiem zgodzić się na ograniczenie intencji zawartych w tytule do tego, że praca stawia sobie za zadanie powiązanie mistycznej ideologii narodowego socjalizmu z istniejącymi poprzednio postaciami podobnych ideologii, a więc stara się prześledzić rozwój mistyki społeczno-religijnej od Eckarta do Rosenberga i to tylko rozwój w ramach tej samodzielności jaką posiada niewątpliwie każda ideologia — to broszurę Halbana należałoby powitać z uznaniem, jako ciekawą przyczynkę do historii kultury niemieckiej.

*) Leon Halban: Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu. Lublin, 1946 r. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniw. Lubelskiego. Str. 42.

Nie zgodzimy się jednak na tezę, że partia narodowo-socjalistyczna była narzędziem mistycyzmu niemieckiego. Autor pisze: „Przywódcy i kierownicy narodowego socjalizmu wyszli niemal wszyscy z tych mistyczno-germańskich ugrupowań”. Zgoda. Lecz z tego nie wynika, że partia zwiedzająca mistyce germańskiej swoje historyczne znaczenie, swoje dojście do władzy i możliwość rozpętania wojny. Nie hipnotyzujemy i nie odwracamy zależności. Ideologie „o ile nie posiadają szerokiego oparcia w materialnych warunkach bytu albo przeczą wszelkim dążeniom rozwojowym, są może ciekawym wytworem psychologii indywidualnej, ale ze stanowiska dziejowego są utopiami”. (Krzywicki: Idea a życie). Mistyka narodowego socjalizmu wykorzystywała propagandowo istniejący w Niemczech nurt mistyczny, i mistycyzm był tylko narzędziem partii w walce o władzę, a nie odwrotnie. Społeczne znaczenie jakie posiadają referowane przez Autora koncepcje mistycyzmu germańskiego nie leży w determinującym wpływie czynników irracjonalnych na procesy spo-

łeczne, a tym bardziej nie upoważnia do sugerowania, że niebezpieczeństwem dla świata jest germańska wiara, której skutecznie przeciwstawić się może tylko inny irracjonalizm. To bowiem, że „narzędziem mistycyzmu” stała się NSDAP — a nie „Germanen Orden”, ma swoje powody społeczno-rzeczowe. „Germanen Orden” chciał być „narzędziem mistycyzmu” i jego głosi-cielem. Partia Hitlera dążyła do władzy politycznej i określonych przekształceń gospodarczych. „Mistyka” była raczej ubocznym założeniem propagandy partyjnej. Tym co dało wpływ i znaczenie historyczne partii, były zorganizowane przez nią realne siły społeczno-gospodarcze i w tym organizowaniu zręczne wykorzystanie nastrojów mistycznych oddało partii wielką usługę. Bez zorganizowania istniejących sił społecznych, dokonanych przez partię również innymi środkami, nie tylko poprzez mistycyzm „Weltanschung” — ten ostatni pozostałby tylko „wiórem historii”, jak wiele innych mistyczno-politycznych programów.

Odrzucamy więc milcząco przyjęte zało-

JAN ALFRED SZCZEPANSKI

Po zamordowaniu Józefa Oppenheima

Wielu bliskich mi przyjaciół i kolegów zginęło w górach. Pisałem o nich rzewne wspomnienia po pierwszej wojnie światowej, w owych czasach, gdy chcieliśmy by życie ludzkie miało najwyższą wartość i gdy ludziliśmy się, że tę wartość posiada. Teraz nadeszła pora pisania wspomnień o tych, którzy zwyciężyli w górach, ale padli w walce z Niemcami. A oto nagle przypada mi w udziale obowiązek napisania o taterniku, którego nie złamały ani przeciwności skalnych dróg, ani wojna, drogi ukrywania się i tułaczki, ale który padł zamordowany na posterunku w odrodzonej Polsce. I muszę być jakiegoś szczególnego okoliczności tej śmierci, skoro miejsce dla jej omówienia mam udzielone nie w czasopiśmie turystycznym, lecz na łamach „Kuznicy”.

W istocie zamordowanie Józefa Oppenheima, taternika i kierownika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, jest wydarzeniem tak znamienym w naszej bieżącej rzeczywistości, odsłoniło tak głębokie schorzenie pewnej grupy ludzi, nazywających się jak my Polakami, że — jakkolwiek w nieustającej fali ważnych wydarzeń morderstwo to — zdawałoby się drobne i skazane na rychłe zapomnienie — urasta przecież do rozmiarów zasadniczego problemu i nabiera znaczenia najgłośniejszego z dotychczasowych sygnałów ostrzegawczych. Szeroka akcja o charakterze społeczno-politycznym, która rozwinęła się w około całej sprawy, założenie „komitetów ku uczczeniu pamięci Józefa Oppenheima” i stworzenie „funduszu imienia Oppenheima”, przeznaczonych na jedną z najpilniejszych potrzeb społecznych naszego narodu, świadczą, że zamordowanie Oppenheima może się stać, i stanie się, ducę wierzyć, punktem wyjścia dla ulepszenia metod obrony przed wdzierającym się do naszych domów barbarzyństwem i wzmocnie- nia z nim walki faktycznej i ideowej.

Józef Oppenheim był człowiekiem gór, nie z urodzenia lecz z własnego wyboru, co jest rozstrzygające. Blisko 40 lat mieszkał w Zakopanem, blisko 40 lat chadzał po górach, które poznał jak niewielu w Polsce. Uprawiał taternictwo letnie i zimowe, wziął się do nart gdy tylko ta nowość pojawiła się w Zakopanem, na wielu szczytach Tatr Zachodnich stanął jako pierwszy turysta, obciążony a uskrzydłony „deskami”. Spartański w swoich potrzebach materialnych, inteligentny, uczynny i serdeczny, nie miał wrogów, a przyjaźnił się z każdym, kto podzielał jego namiętną miłość do gór i Zakopanego. Był jedną z najbardziej charakterystycznych i najwięcej lubianych postaci w turystyce i w Klubie Wysokogórskim PTT.

Ale nie te sprawy były najważniejsze. Ośrodkiem życia Oppenheima, jego jakby celem życiowym była pomoc samarytańska, było ratownictwo górskie. Oppenheim od pierwszej chwili założenia przez Mariusza Zaruskiego organizacji pod nazwą Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe stał się jej wiernym i gorliwym pracownikiem; a gdy Zaruski porzucił taternictwo dla yachtingu, objął po nim kierownictwo TOPR-u. Za czasów Zaruskie-

go Pogotowie interweniowało kilka, co najwyżej kilkanaście razy do roku. Za kierownictwa Oppenheima, gdy ruch turystyczny wzrósł wielokrotnie, sezon letni to było kilkadziesiąt interwencji Pogotowia, a sezon zimowy — kilkadziesiąt. Iu ofiarom lekkomyślności, nierozwagi, niedoświadczenia lub zbiegu niepomysłnych okoliczności ocaliło Pogotowie życie, świadczą kroniki Pogotowia i wyciągi ogłaszane w „Wierbach”. A każdą poważniejszą wyprawą kierował osobiście Oppenheim niosąc ratunek lub bodaj znosząc ciała umarłych z urwisk górskich.

Więc za to? Ach, Józef Oppenheim był socjalistą. Należał do „Proletariatu” a następnie do PPS, której pozostał wierny do chwili śmierci. Ale i nie za przynależność partyjną dosięgła go wrogość bandyckim „wyrokiem”. Gdy na wiadomość o zamordowaniu Oppenheima wypowiedziałem od razu słowa: NSZ — ludzie naiwni lub mniej rzetelni w stosunku do otaczającego ich świata, zaprotęstowali gwałtownie: Oppenheim, nie mają pod tym względem wątpliwości, padł ofiarą mordu rabunkowego, i nie wolno tego ohydneho zabójstwa wpisywać na jakiegokolwiek polityczne konto. Na odpowiedź, że Oppenheim był człowiekiem ubogim, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, mieli również argument: w ostatnim czasie, jako kierownik Domu Wczasów robotniczych na Groniku dysponował Oppenheim pewnymi sumami, a nadto znajdowała się w jego mieszkaniu pewna ilość koców, które rabusie zabrali. Rozstawaliśmy się poróżnieni, tak samo jak wówczas, gdy przytaczam statystyki mordów popełnianych na ocalałych z rzezi niemieckiej Żydach.

Bo Oppenheim nie padł ani za kocz, ani za wczasy robotnicze; zamordowano go za to, że był pochodzenia żydowskiego, zamordowano go za to, że co padł Dawid Grasgrün, przewodniczący Komitetu Żydowskiego w niedalekim Nowym Targu, i za co w ostatnich tygodniach padają w całej Polsce jednostki z pietnem swej „krwi” próbuje ze zgłuszyć i w pustce omentarnej odbudować na nowo swe istnienie.

Oppenheim opuścił Zakopane w dniu wybuchu wojny. Wrócił na Podhalę, gdy jeszcze katusze grzmiały nad Odrą. Stęranął, ale po dawnemu pełen energii zgłosił się z powrotem do pracy. I oto zmiana, oto oshupująca zmiana; przed nim, który nie miał wrogów, wyrasta nagle zwarty mur nienawiści, a co najmniej jaskrawej niechęci. Inni ludzie pozostawali czasu okupacji jego stanowiska, a ludziom tym ani w głowie z nich ustąpić. I gdy sytuacja staje się napięta, nie cofają się przed żadną formą nagonki na człowieka, z którym dawniej zgodnie współpracowali.

Zmienili się ludzie i zmienił się klimat. Okres wojny wypełniony był w Zakopanem nie tylko walką ze zdradą goralen-wolkizmu; był również wypełniony uprą-łą, faszystowską agitacją Wacława Krzeptowskiego i jego volksgenossów, podbudowaną działalnością faszystowskich ugrupowań polskich. I oto doraźne skutki: przez 30 lat pamiętano „żydowskość” Józefa Oppenheima co najwyżej w sensie,

żenie wykładu Autora o primacie czynników irracjonalnych w wyznaczaniu przebiegu procesów historycznych. Autor pisze: „pozostaje obecnie pytanie, czy z rozgromieniem Rzeszy i partii można sądzić że groźne dla całej ludzkości niebezpieczeństwo ze strony wiary niemieckiej znikło ostatecznie? Bez wahania odpowiadam przecząco. Dalej: „I kiedyś, o ile nie zostanie porzuconą lekkomyślna powierzchowność w ocenianiu rzeczywistości politycznej przez t.zw. praktycznych polityków, może się okazać, że Hitler i partia przegrali wprawdzie wojnę, ale że przetrwała ją i niewzruszoną pozostała ta mistyka barbarzyństwa i okrucieństwa — germańska wiara”. W tych zwrotach, jak i szeregu innych, dobieganiu cytatów z Lagarde'a (str. 29) widzielibyśmy te sugestie, które uważamy za nieuzasadnione. Nie mistycyzm niemiecki zagraża światu. Jeśli unieszkodliwione zostaną realne siły społeczne i gospodarcze, które mogą odbudować „Reich” i uczynić go znów „narzędziem imperializmu”, germańska wiara wegetować będzie tylko słabymi ognikami na bagnie irracjonalizmu niemieckiego, bez możliwości rozniecania światowych pożarów.

Nie zaprzeczamy roli, jaką gra irracjonalna metafizyka w rozwoju ruchów społeczno-politycznych, lecz nie widzimy w niej głównej sprężyny biegu historii. To wszystko.

by tak rzec, kameralnym, jako pouczający przykład całkowitej przemiany w polskość; a teraz, pochodzenie tego człowieka staje się sprawą zasadniczą. Zbyt wielu chwaliło sobie „wysiedlenie” Żydów z Podhala i zasmakowało w Zakopanem „judenrein”.

Oppenheim nie mógł tego zrozumieć i nie poddał się, toteż konflikt rósł. Przyjaźnił się z góralami — a więc tak zaangażowano przewodników, że pisali (by później odwoływać) jakieś memoriały; pracował wiele i owocnie w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim — więc oskarżono go o wszelkie możliwe przewinienia, a gdy zarząd główny PTT z oburzeniem odparł obrzydliwe insynuacje, obrzucono obelgami całe Towarzystwo. Narastała atmosfera duszna, pełna ukrytych gróbów i wieloznacznych aluzji. A potem wyszli „chłopcy z lasu”, z eneszetowską oznaką na ramieniu a obłąkaną wiarą w nauki Hitlera w sercu... a potem przewodnicy nie poszli na pogrzeb zamordowanego, „bo im życie mile”.

Nie wiem jakimi słowami, jakim głosem mówić o ludziach, dla których „rasa” Oppenheima przeważała jego zastugi. Zapięta, koszmarna nienawiść nie cofnęła się przed zamordowaniem tego, którego powołaniem było ratowanie życia innych; okrutny paradoks, mogący stać się tragicznym symbolem. Hitler nie umarł, już dawno wypowiedziano te słowa w odniesieniu do działalności polskich wilkolaków. Zdawało się naiwnym, że wymordowanie 90% Żydów polskich przez Niemców zlikwidowało sprawę antysemityzmu w Polsce. Okazało się, że sprawa żydowska w Polsce dalej istnieje, że zmieniła się tylko, przesunęła w proporcjach gospodarczych, ale utrzymała całą swoją ostrość moralną i napięcie emocjonalne. Choć Żydów w Polsce jest dziś mniej niż w Anglii, sprawa żydowska w Polsce w postaci części społeczeństwa po dawnemu jest jedną z najważniejszych, po dawnemu wymaga sanacji. I nie wolno się tu dzić, że rozładuje ją przemilczanie, przeczenie faktem lub zdrabnianie ich, wymiarów i reagowania na nie. Po dawnemu stosunek do Żydów jest w Polsce sprawnym i miernikiem demokracji. Oportunizm i pewnego rodzaju bezczynność w sprawie żydowskiej, rozprzeszczerzone bardziej niż zwykliśmy sądzić, nie są ani usprawiedliwione moralnie i ideowo-politycznie, ani, wbrew pozorom, trafne pod względem taktycznym. Wytepienie tej groźnej cechy i pozostałości faszystwu należy do tych zadań państwa, które nie mogą być odkładane. Lecz sprawiedliwość brachialną winna wspomóc akcja społeczna. Dlatego, jeżeli śmierć Józefa Oppenheima nie ma być tylko jednym z licznych, tragicznych epizodów schyłku czasów pogardy, nie pomszczonym (choć w istocie rzeczy jest to mniej ważne) i przebrzmiałym bez echa — powinniśmy zawiązać już komitety dla uczczenia jego pamięci mniej się wyżywać w organizowaniu akademii, wydawnictw pamiątkowych itp., a głównie nacisk położyc na akcję czynnego przeciwstawiania się zarazie antysemityzmu w organizmie polskim. Wówczas zadanie ich będzie spełnione.

NATALIA GĄSIOROWSKA

Bałtyk i jego polskie zaplecze

Rozszerzenie polskiego wybrzeża wysunęło w nowej postaci dawne problemy; zagadnienie Bałtyku, jako morza otwartego, oraz pełnego gospodarczego użytkowania ogromnego polskiego zaplecza Bałtyku.

Podobnie jak morze Śródziemne dla Europy południowej, jest Bałtyk morzem śródziemnym dla północnej Europy. Ten faktyczny stan rzeczy, trwający od szeregu stuleci, określa jego znaczenie polityczne i gospodarcze, które znajduje wyraz pokojowy w poważnych obrotach gospodarczych międzynarodowych oraz wojenny — w licznych długoletnich walkach, jakie toczyły państwa nadbałtyckie o panowanie nad morzem i jego wybrzeżami.

Na zaplecze Bałtyku składają się ziemie od Karpat do północnej Skandynawii, od Odry do Newy ogromne terytoria okalających morze państw, które z wyjątkiem Niemiec i Związku Radzieckiego, gospodarczo zorientowane były przed wojną całkowicie ku niemu, korzystały wyłącznie z tej właśnie drogi morskiej. Najważniejsze zaplecze Bałtyku jednak tworzą dorzecza Odry i Wisły, w obecnej, powojennej dobie tereny państwa polskiego.

Z rzek, wlewających swe wody do Bałtyku najobszerniejsze dorzecze (200 tys. km kw.) ma Wisła, po Dunaju i Renie największa z rzek zachodniej i środkowej Europy; dopływy Wisły łączą różne ziemie, które stanowiły 45% terytorium przedwojennej Polski. Jako szlak komunikacyjny Wisła łączy się kanałami z Odrą, pośrednio z Łabą, a nawet z Renem oraz z rzekami wschodnimi, płynącymi ku morzom Bałtyckiemu i Czarnemu. Rzeka przedstawia potencjalne ogromne możliwości w zakresie komunikacji z morzem, wymaga tylko niezbędne doprowadzenia jej, jako drogi wodnej, do stanu pełnego użytkowania.

Dorzecze Odry obejmuje przeszło 116 tys. km kw., jej główny dopływ Waria (dorzecze 54 tys. km kw.) płynie przez dawne polskie i słowiańskie ziemie. Rzeka Odra jest uregulowana. Od miejsca, w którym bieg jej przybiera kierunek północny, nie ma ona dopływów zachodnich, żadne drogi wodne z zachodu ku niej nie prowadzą, dlatego dla ziem na wschód od niej leżących stanowi ona granicę naturalną. W lewoobrzeżne dopływy natomiast obfituje jej bieg środkowy i górny, ostatnim z nich ku północy jest Nysa Łużycka; dorzecze jej obejmuje tu ziemie między Odrą i Sudetami — czyli Śląsk i część Łużyc; tedy przechodziła zachodnią granicą Polski za pierwszych Piastów. Zaodrzańskie zaplecze Bałtyku rozdzielone było przed wojną polityczną granicą polsko-niemiecką hamującą rozwój gospodarczy tych ziem.

Naturalne drogi komunikacyjne są uzupełniane przez budowę sieci kanałów i linii kolej żelaznej. Wisłę z Niemnem i Dnieprem łączą kanały o historycznym raczej znaczeniu; kanały Ogińskiego i Królewski z końca XVIII wieku, kanał Augustowski z r. 1818, rolę gospodarczą natomiast spełniają kanały, łączące dorzecza Odry i Wisły w ramach zaplecza Bałtyku. Ważne zadanie mają linie kolejowe, biegnące z południa, z zakończeniem w portach Bałtyku, np. linia Śląsk — Gdynia. Przez połączenia kolejowe do zaplecza Bałtyku wciągane są częściowo kraje odległe: Czechosłowacja, Rumunia, Węgry, ziemie białoruskie. Polska po wojnie europejskiej traktatem Wersalskim uzyskała 140 km brzegu morskiego, na Pomorzu Zachodnim skrawek 10 km kw. i postanowienie o umiędzynarodowieniu Odry, w praktyce nie przeprowadzone; otrzymała również dostęp do portu w Gdańsku, który nie został włączony do terytorium politycznego Polski lecz jako Wolne Miasto należał do jej obszaru celnego, co uregulowała następnie konwencja, zawarta między Polską i Gdańskiem w r. 1920. Wśród państw okalających Bałtyk zaplecze polskie miało najliczniejszą i najgęstsza ludność, a jednocześnie, poza Litwą, najkrótsze wybrzeże. Stosunek procentowy granicy morskiej do granicy w ogóle wynosił 2.5 (Dania 97.5, Niemiec 22.6, nawet Litwa 7.2), podczas gdy 75% obszaru Polski należało do zlewiska Bałtyku.

Znaczenie tak krótkiego wybrzeża, było jednak większe niż całej granicy lądowej. Pomimo ułamkowego uregulowania dostę-

pu do morza Polska, która w dawnych swych dziejach, przedrozbiorowych, zachowywała bierną, wobec Bałtyku postawę, zaniedbała politykę morską, w okresie 20-letnim międzywojennym swoje ograniczone możliwości wyzyskała w stopniu znacznym. W r. 1938 polski handel zagraniczny korzystał z drogi morskiej w 80% co do wagi, w 65% co do wartości towarów. Gdańsk, który w czasach panowania niemieckiego spadł do roli podrzędnego portu handlowego, był raczej przystanią dla floty wojennej, nabierał po wojnie znaczenia portu światowego; szybko rozwijała się Gdynia. W r. 1938 pod względem tonażu wchodzących do portu statków najpoważniejszą wśród portów bałtyckich przedstawiała się Gdynia i Gdynia; ruch wzrastał, zwłaszcza w zakresie wywozu towaru masowego.

Zmianom politycznym powojennym towarzyszą przeobrażenia ekonomiczne; najjaskrawszy wyraz znajduje to zjawisko w Polsce. Już po wojnie europejskiej nastąpiło znaczne przesunięcie w życiu gospodarczym od portów niemieckich ku nasileniu obrotów w portach Polski. Do dawnych portów przybywa Szczecin, mniejsze porty nadodrzańskie Pomorza (Kołobrzeg, Drylów, Sońnica, Uszka, Strzałów). Wytwarza się łatwiejsze, ściślejsze połączenie z gospodarką innych krajów bałtyckich, powstaje swobodna komunikacja ze światem. Charakter zaplecza polskiego zmienia się; rozszerza się ono sięgając aż po granice wpływów portów adriatyckich i czarnomorskich; przez porty polskie prowadzi najkrótsza droga z krajów Europy środkowej, południowo-zachodniej Rosji, krajów bałkańskich ku Bałtykowi, Skandynawii, Anglii, aż Ocean. Główne porty: Gdańsk, Gdynia, Szczecin nabierają charakteru międzynarodowego; różne kraje korzystają z tranzytu, zwłaszcza Odrą, przez port Szczecin.

Pod panowaniem niemieckim wybrzeże między ujściem Odry i ujściem Wisły gospodarczo było zaniedbane; kraj leżący na

peryferii Rzeszy w niekorzystnym pod względem komunikacji położeniu ulegał wyludnieniu; jedyne duże miasto przedstawiał Szczecin, powyżej 50 tys. mieszkańców miały tylko Strzałów i Słupsk. Polityka niemiecka zmieniła się w czasach nazistowskich; usiłowano podnieść gospodarstwo, zaludnić kraj przez sprowadzanie sezonowych robotników rolnych z Polski; w czasie wojny przez użytkowanie siły roboczej w rolnictwie i przemyśle jeńców wojennych, ludność wolnej, ściąganej do przymusowej pracy na kresach odrzańskich. Nadto Niemcy dążyli do opanowania Bałtyku i jego zaplecza. Bałtykowi, jego portom i wybrzeżom groziło uposzczenie na rzecz Morza Północnego; okupowanie obszaru bałtyckiego niszczyło gospodarstwo kraje nadbałtyckie, dawało podstawę dla hegemonii Niemiec w Europie. Wojna zahamowała ekspansję Niemiec na tym terenie, zmieniła układ polityczny nad Bałtykiem na ich niekorzyść, rozszerzyła wybrzeże Polski wzmacniając jej charakter bałtycki, wiążąc silniej gospodarstwo Polski z morzem.

Położenie geograficzne wybrzeża polskiego przedstawia się korzystnie. Obszar dorzeczy Odry i Wisły łączy się na południu z odcinkiem górskiego wododziału w Sudetach i Karpatkach, na północy z objętych przez nie odcinkiem morza Bałtyckiego. Dostęp do morza znacznie został ułatwiony, zniknęła enklawa niemiecka na wschodzie, przoduła się naturalna granica morska. Osie gospodarcze współczesnej Polski stanowią: Wisła, z punktami głównymi: Kraków, Warszawa, Gdańsk, oraz Odra, z punktami: Opole, Wrocław, Szczecin.

Mocniejsze oparcie o Bałtyk daje warunki dla znaczniejszej ekspansji gospodarczej i kulturalnej. Wiąże się z tym potrzeba stworzenia nowego racjonalnego planu struktury ekonomicznej państwa, planu, opartego na uregulowaniu Wisły, połączeniu jej z Odrą, na odbudowie portów, bu-

downie dróg ku morzu wiodących, tworzeniu ujścia gospodarczego w portach dla całego zaplecza polskiego. Jednocześnie, z nowych warunków wynika konieczność utrzymania otwartego morza jako wolnej drogi handlowej dla wszystkich krajów nadbałtyckich, szlaku komunikacyjnego, w oparciu o porty i flotę handlową. Historycznemu zaniedbaniu morza nowa Polska ma przeciwstawić racjonalne rozwiązanie problemu morskiego.

Do wykonania tego zadania nowe państwo polskie przystępuje. Zapoczątkowana została odbudowa polskiego wybrzeża. Powstały instytucje, które prowadzą odpowiedzialną działalność: Główny Urząd Morski, Biuro Odbudowy Portów, Gdańska i Szczecińska Dyrekcja Odbudowy, Zjednoczenie Stoczni Polskich, Główny Morski Urząd Rybacki, Morski Instytut Rybacki; współpracują z nimi Wojewódzkie Wydziały Odbudowy, Dyrekcja Ministerstwa Komunikacji, Dyrekcja Dróg Wodnych, Zjednoczenie Energetyczne i inne instytucje.

Wykonany został pierwszy plan doraźny, osiągnięto poważne rezultaty. Przelamano mariwole portów i miast nadbrzeżnych; porty i miasta żyją. Wielkie statki zagraniczne przeladują towary, część fabryk została uruchomiona; tramwaje kursują, działają wodociągi i gazownie; czynne są liczne uczelnie; oświetlenie, arowizacja ulegają poprawie. Jednocześnie opracowywane są dalsze państwowe plany odbudowy; konkretny na rok najbliższy oraz ogólny na następne trzylecie. Plany te mają na celu odbudowę polskich portów morskich, z Gdynią, Gdańskiem, Szczecinem i Elblągiem na czele, przy czym w akcji odbudowy przy rozdziale funkcji portowych uwzględniane są możliwości i potrzeby zaplecza oraz urządzenia poszczególne portów. Szczecin i Gdańsk posiadają wielkie zaplecze, związane Odrą i Wisłą; Gdynia będzie rozporządzała najbardziej nowoczesnymi urządzeniami portowymi. Praca odbudowy wybrzeża, prowadzona na wielką skalę, wpłynie na odbudowę zrujnowanego przemysłu, pośrednio całego gospodarstwa Polski.

(Przegląd Zachodni, R.I. Nr 4/5, Zdzitowiecki, Życie Gospodarcze, R.I.Z. 3, Eug. Kwiatkowski)

Nowe książki

Zofia Petersowa „Wrzesień Warszawy 1939 r.”. Reportaż. Wydawn. E. Kuthana. Warszawa 1946 r.

Podczas lektury tej interesującej książki istniało przez pewien czas małe nieporozumienie między mną a autorką. Tak się złożyło, że wrzesień 1939 roku przeżyłem poza Warszawą. Dlatego też ze szczególnym zacięciem czytałem pracę Petersowej szukając tam syntetycznego obrazu Warszawy z owych pamiętnych dni. Czuję się do tego upoważniony pewnymi fragmentami przedmowy, jak i widniejącym na okładce słowem „reportaż”. Znalazłem zaś przede wszystkim pamiętnik i dlatego czułem się trochę zawiedziony. I wydaje mi się, że u podstawy nieporozumienia tkwi trudność wyobrażenia sobie formy łączącej pamiętnik z reportażem. Bo podczas, gdy pierwszy ujmuje temat z całą premedytacją jak najbardziej subiektywnie, drugi czyni to w miarę możliwości nieosobliwie.

Mówię „przede wszystkim pamiętnik” co wcale nie znaczy, by książka Petersowej była pamiętnikiem. W każdym razie nie jest to pamiętnik typowy, taki do jakich przywykliśmy. Z pewnych względów autorka była zmuszona zaniechać chronologii, nie spotkałem też w tej pracy bezpośrednich notatek. Jest to świeża pamięć odtworzone z luźnych zapisków wspomnienie. Myślę, że „wspomnienie” to byłaby najwłaściwsza nazwa dla tej książki. Zresztą nie o nazwę chodzi. Wspominam o tej sprawie dlatego tylko, że obawiam się, iż moje własne wrażenia mogą być typowe.

Jak już wspomniałem, omawiana książka przekazuje nam to, co widziała autorka w obłożonej Warszawie. A że i patrzeć umie i miała możliwość niejedno oglądać, więc też wielu ludzi i wiele sytuacji przesuwa się przed oczyma czytelnika. Nastrój dni przedwojennych, pierwsze momenty oblężenia, praca w punkcie opatrunkowym, wyprawa do znajdującego się na linii walk mieszkania, żołnierze, cywile, dystyngowane damy i kryminaliści, warszawiacy i przybysze — uchodźcy, zdrowi i całe masy rannych. Poza tym stała praca sanitariuszek, troski o wyżywienie, bezustanny, właśnie w punkcie opatrunkowym straszliwie płodny ogień nieprzyjacielski, pożary, gruby, groby. Życie w przedśrodku śmierci. Słowem materiał do epopei.

Właśnie materiał tylko. Bo autorka świadomie zachowuje przez cały czas opowiadania spokojny, kronikarski stosunek do opisywanych faktów. Nie daje się uwieść

jakże nęcącej wobec tematu, pokusie literackości. Być może wchodzi tu w grę brak dystansu wobec opracowywanego tematu, stąd też niemożność traktowania go „na zimno”. (Praca przybrała dzisiejszą formę w zmieście 1939/40). W każdym razie Petersowa ogranicza się do starannego, skrupulatnego inwentaryzowania przeżyć, wydarzeń i postaci. A że ta beznamietna inwentaryzacja „bierze”, że owe postaci, wydarzenia i przeżycia mają bardzo wyrazistą wymowę, to już inna sprawa. To jest rezultat świadomej, precyzyjnej pracy twórczej.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pewną, bardzo charakterystyczną stronę omawianej pracy. Chodzi o specyficzne zjawisko poszerzenia się horyzontu jaki w miarę narastania sytuacji rozciąga się przed oczyma czytelnika. O ile na pierwszych kartach książki obserwujemy przeżycia dość wąskiej grupy ludzi, z którymi autorka się styka, tak dalej, w miarę rozwoju wypadków, drga przed nami rozległy przekrój społeczeństwa obłożonego miasta. Równoległe ze spadkiem ważności własnych, osobistych przeżyć autor ki wlatcza się na arenę szeroki obraz życia Warszawy. Rośnie on crescendo razem z sytuacją równającą wszystkich wobec ogromu przeżywanych chwil. Potem, po kapitulacji, następuje znów powrót do spraw prywatnych, warunki wysuwają na plan pierwszy troski osobiste. Bardzo prawdziwie przeprowadzone jest w tej książce to znane nam wszystkim z autopsji zjawisko pochłaniania małych zagadnień przez wielkie i powszechne kataklizmy, jednym z nich było oblężenie Warszawy z 1939 roku. Wiele podobnych momentów przeżyliśmy potem.

Szuster Edward

Władysław Rymkiewicz Ludzie bez jutra, powieść. Wyd. Eug. Kuthana, Warszawa, 1946, str. 285.

Jest to powieść napisana przed wojną. Nie ma głównego bohatera, jest ich właściwie kilku: adwokat Dobranicki — junior, uczeń wyuczony lecz pozbawiony woli i charakteru młody człowiek „do wzięcia”, dyrektor wielkiej firmy „Industria” Barlitz, nieszczęśliwy w małżeństwie i pocieszający się na boku, z czego wynikają skandale — jeden rozdzawany najnieoczekiwaniej małżeństwem „ofiary”, drugi — kończący się równie nieoczekiwaną śmiercią dyrektora w taksówce na szosie pod miastem. Nestor warszawskiej palestry, Dobranicki — senior (świetny, najlepszy chyba w książce epizod ostatniego

występu starego adwokata w sądzie apelacyjnym), awanturka erotomanka Ija Piłarska, niezapokojona żona dyrektora „Industrii” — Klara, pisząca zle powieści i jej z żurnalu wycięty kochanek, parę zresztą zarysowanych sylwetek charakterystycznych, malujących przeważnie różnego typu życiowych wykojeńców — to właściwie wszystko.

Właściwym środowiskiem, najlepiej oddanym w powieści — jest środowisko sądowo-adwokackie, ono żyje w książce naprawdę, to, co jest poza nim, wyrasta też z niego, z obfitej kroniki „życiowych” spraw, do jakich materiału dostarczają nam akta sądowe. Powieść kryminalna? Nie, ten termin oznacza co innego. Tu jest i tzw. tło obyczajowe i „psychologia”. Brak tylko jednego: dystansu, który by stwarzał dla utworu właściwą oprawę społeczną. Ludzie są kompromitowani z pasją nie wiadomo właściwie w imię czego. Autor nazywa ich „ludźmi bez jutra”, co nie jest słuszne. Za człowieka bez jutra mógłby być uważany co najwyżej młody Dobranicki, inni wykazują dość dużo żywotności. Można by postawić sobie pytanie, czy powieść straciła czy zyskała na tym, że ukazała się dopiero po wojnie. Zaryzykowałbym twierdzenie, że zyskała, ponieważ żywy, realistyczny rysunek postaci nabrali bardziej samodzielnego wyrazu.

Ci ludzie niekiedy może tylko trochę zbyt konwencjonalni, dziś wyglądają z pewnością lepiej osadzeni w epoce niż przed wojną. Nie stwarza to wprawdzie jeszcze pełnego jej obrazu, co koncentrując naszą uwagę, pozwoliłoby nam zrezygnować z pretensji do sposobu przeprowadzenia wątków psychologicznych w akcji, w każdym jednak razie wydaje się dzisiaj głównym obiektem naszego zainteresowania. Na tym tle maleje ciężar gatunkowy zarzutu, który można by postawić, że konflikty życiowe bohaterów (wyjąwszy może dramat starego Dobranickiego) mając pewne po temu dane nie urastają do miary poważniejszych psychologicznych powikłań; że pokazane są osoby, które dramatu właściwie nie przeżywały, a na istotne jego bohaterki czy bohaterów (Cegłowska, Pelczarówna, Lysoń) — pada jedynie skąpe, epizodyczne światło. Ta perspektywa dramatów cudzych, widzianych w ostrym przekroju ich sądowo-adwokacko-kancelaryjnych epilogów charakterystyczna jest dla książki, napisanej poza tym z dużym pisarskim nerwem, znajomością rzemiosła, książki, którą się czyta lekko i z zaciękwieniem.

R. M.

Kronika zagraniczna

Z czasopism francuskich

Nie będzie może zbyt naiwnym uogólnieniem, gdy się stwierdzi, że okupacja niemiecka wytworzyła w państwach, które ją przeżyły, jakieś głęboko sięgające podobieństwo w dziedzinie politycznej, społecznej i kulturalnej. Byłoby też niewątpliwie odświeżającym spojrzeniem na skutki wojny, gdyby istotnie udało się stwierdzić, że tworzy się nowa Europa, połączona więzią nie wyścigu zbrojeń — lecz jednością nurtów ideologicznych i zagadnień ekonomicznych. Takie myśli nasuwają czytelnikowi gazety i pisma z Francji, gdyż zakres ich problemów i zainteresowań jest uderzająco podobny do naszych zmartwień, kłopotów i zagadnień. Na plan pierwszy wysuwa się uporządkowanie swego stosunku do lat wojny. Wyraża się ono w ciagle jeszcze żywych wspomnieniach ludzi, którzy poginęli — (Politzer, Giraudoux, Jacques Decour) i w rozpatrywaniu skutków, jakie pozostawiła wojna we wszystkich dziedzinach życia. Jedną ze smutniejszych jej pozostałości są ludzie, którzy współpracowali z okupantem, a którzy chętnie rehabilitowaliby się, aby zacząć życie od nowa. Z dziedziny literatury najczęściej wymieniamy się Maurras'a Montherlanda, ale pisarze francuscy zajęli od razu zdecydowane stanowisko. „Nie karać zbrodni wczorajszych — to znaczy osłaniać zbrodnie jutra” pisał Claude Morgan w artykule „L'armée du crime”. Pisarze i publicyści zwłaszcza środowisk lewicowych (La Pensée, Les Lettres Françaises i Les Lettres) ostro występują przeciwko wszelkim pozostałościom faszyzmu i domagają się od literatów ścisłego kontaktu z demokratycznym życiem narodu. Aragon w ten sposób określa stanowisko pisarzy tego typu, co Gide, którzy „nazywali zdradą klerków ucziestnictwo intelektualistów w cierpieniu i walce ludu” — „pisarze ci odcięci od głębokich mas narodu — tracą łatwo sens odpowiedzialności i zobowiązania. Czynia chętnie z odcierania się — cnotę, z bezużyteczności — znamie arystokratyzmu i piękna. Jeśli artysta porusza problemy żywołne i pasjonujące naród — jego towarzysze zarzucają mu, iż robi propagandę”. Stanowisko to podziela również wybitny poeta angielski Stephen Spender, który wygłosił w Paryżu odczyt o współczesnej poezji angielskiej. Poeta ten jest wyznawcą nowego humanizmu i w taki sposób mówi o roli poezji: „Jeśli chcemy nadal istnieć, jeśli pragniemy zachować się prawo do oddychania i cież prawa do dalszej twórczości — wydać się, że musimy wyjść poza wewnętrzne komplikacje naszego osobistego życia”. Spender jest zwolennikiem czyszczenia tematów z otaczającej człowieka rzeczywistości i jednoczenia dzieła jakimś zagadnieniem moralnym.

Wypowiedzi tego typu są powszechne, a jak dalece wiążą się z istotnymi potrzebami społeczeństwa świadczy o tym między innymi fakt, który krytyk Louis Parrot nazywa „Kryzysem literatury fantastycznej”. Autor pojęcia fantastyki daje szeroki zakres rozumiejąc pod nim „opowieści naukowe, opowiadania o czasach, które nadejdą, powieści kryminalne, i ezotyczne, nowele grozy, powieści o tajemnicach z tamtego świata „w ogóle wszystko” co nie godzi się z powszechnym zdrowym rozsądkiem”. Otóż pojawienie się kilku powieści tego rodzaju wykazało, że „autorem, który nie wierza w świat fantazji — ów świat odplaca tą sama moneta”. Powieści te są słabe pod względem stylu i nie budzą zainteresowania.

Czyż temu można się dziwić w naszej epoce, w której rzeczywistość wojenna i nowy świat rodzący się obecnie dostarcza tak wielu pasjonujących zagadnień i tematów? Do takich należy niewątpliwie problem — jakie skutki w dziedzinie życia moralnego pozostawiła wojna? Sprawy te były u nas wielokrotnie poruszane przy czym specjalną uwagę zwracano na ujemne następstwa wojny w tej dziedzinie. Dlatego uderza swa odrębnością artykuł Jean Paul Sartre'a, który podkreśla dodatnie cechy jakie w jednostkach i społeczeństwie wyrobiła wojna. Artykuł swój nazwał autor „Republika ciszy” i twierdzi, że okres ruchu oporu był istotną demokracją, gdyż „poświęcenie i ryzyko życia były jednokowe dla wszystkich, dla dowódców i dla tych ludzi, którzy przynosili wiadomości, nie znając nawet ich treści. Nie ma armii na świecie, w której można by znaleźć podobną równość ryzyka, tak dla żołnierza, jak dla głównodowodzącego”. I dalej „Każdy z obywateli wiedział, co jest winien wszystkim i że mógł liczyć tylko na siebie”. Każdy człowiek wybierał między życiem a śmiercią i wybór był świadectwem woli i charakteru. Każdy decydując się na śmierć zapytywał siebie czy znieść tortury i nie wyda innych. Każde słowo i każdy gest były — wobec opresji i tyranii zakazujące mówić — deklaracją prawa człowieka do wolności. W ten sposób rodziła się wola i siła narodu. I dlatego kończy autor swój artykuł słowami „Ale czyż nie należy sobie życzyć, aby ta Republika jasności dziennej zachowała w słońcu surowe cnoty Republiki ciszy i nocy”. Dodatnie rezultaty przeżyć wojennych w dziedzinie moralnej dostrzega również Robert Kanter, który omawiając powieści młodych autorów, stara się zrozumieć, jaka jest młodzież, jakie są jej przeżycia i co wyniosła z lat wojny.

Kanter rozpatruje trzy powieści Luc Estang „Le passage du Seigneur”, Romain Gary „Education Européenne” i Richard Hillary „La dernière victoire”. Autor książki „Le passage du Seigneur” jest katolikiem, który stawia sobie pytanie „czy nowy świat powstanie z udziałem lub bez uczestnictwa katolików, czy też

przeciwko nim?”. Młody autor, analizując reakcję swego pokolenia wobec wojny, dostrzega głębokie różnice dzielące współczesną młodzież. Różnice, których nie potrafiły zatrzeć takie przełomy jak Front Ludowy, lub wojna domowa w Hiszpanii. Różnice, których nie zatęrzyły wspólne losy i cierpienia wojny. Wojna wniosła nowe problemy trudne do rozstrzygnięcia, problemy skomplikowane jeszcze bardziej przez to, że „przeciwnieństwa klasowe często były w sprzeczności z przeciwnieństwami narodów, co wykorzystywała propaganda. „To wszystko utrudnia młodzieży skrytykowanie swego stosunku do życia. Młodzież waha się pomiędzy chrześcijaństwem i komunizmem. Dramat Estang'a „jest dramatem człowieka, który chce pozostać katolikiem w tym świecie, w którym wymagania sprawiedliwości społecznej są częściej po stronie komunistów”. Czy to znaczy, że trzeba wybierać między tymi dwiema postawami, zapytuje Kanter? I mówi dalej „Nie mogę jeszcze uwiaryżyć ani w to, ani w konieczność zjednoczenia młodzieży. Ale chociaż może nie pragnie się jedności młodzieży — młodzież skłócona nie będzie zapewne wkrótce mogła ani żyć, ani znieść siebie wzajemnie”.

Książka Hillary'ego przedstawia typ młodego Anglika, który niezadowolony ze swego pokolenia, obcy patriotyzmowi, traktował początkowo wojnę jako sport i może jako okazję do udoskonalenia moralnego. I oto potem w ogniu walk młodzieży tego typu dojrzała do jakiegoś heroizmu i wyrzeczenia się siebie (które jednak jeszcze jest indywidualizmem) — aby wreszcie dojść do zrozumienia, że ta wojna jest wojną „jedności narodowej, tak dla bezrobotnego, jak dla księcia Westminsteru” i że „śmierć każdego człowieka pomniejsza mnie samego, skoro jestem częścią ludzkości”.

Podobne refleksje nasuwa autorowi recenzji książka Gary „L'éducation Européenne”. Książka w której nie ma nienawiści, a ton jej jest tonem nadziei i wiary w człowieka.

„Wiem dobrze — pisze Kanter — że owo poczucie odpowiedzialności i braterstwa może potem pójść różnymi drogami, ale jakie ono oczyściłoby nasze życie i myśli, gdybyśmy mogli je odnaleźć”.

Jak żywe jest we Francji zainteresowanie młodzieżą, świadcza nie tylko powieści. Znaczenie więcej mówi o tym zainteresowanie sprawami oświaty i wychowania. Problemami tymi zajmuje się komisja pod przewodnictwem Paul Langevin. Te zagadnienia próbują omówić i w jakiś sposób rozstrzygnąć liczne broszury, artykuły i książki jak np. J. B. Piobetta „Education nationale et instruction publique”, Maxime Blocq Mascart „Chroniques de la Resistance. (La réforme de la vie culturelle)”.

W nr 3 „La pensée” J. Kanapa stwierdza, iż Francja przeżywa kryzys w dziedzinie wychowania i nauczania, kryzys, którego najbardziej wyrazem była wroga manifestacja studencka przed ambasadą włoską w Paryżu. Autor twierdzi, że są dwie kategorie studentów — ci którzy chcą się uczyć i pracować po ukończeniu studiów, i ci inni, „dla których życie studenckie jest dobrym pretekstem do manifestacji i burd”. Wydzielili, na które się łatwiej dostać i które mają niski poziom naukowy są właśnie przepelnione przez tych ostatnich. Dlatego autor radzi podnieść poziom nauki, utrudnić egzaminy wstępne („gdyż późniejsza selekcja jest już za późna”) i przede wszystkim zreorganizować naukę prawa na uczelniach wszelkich typów. Poza tym należy przeprowadzać dokładną selekcję i odrzucać młodzież, która nie traktuje nauki poważnie. Sam autor zdaje sobie sprawę, że jego projekty są „zabiegami tylko natury technicznej lub administracyjnej”, ale twierdzi, że jedynie w ten sposób nauca uniwersyteckiej można przywrócić jej powagę — a nie za pomocą dyskusji, kazań i kursu wychowania moralnego.

Jeśli chcielibyśmy wyodrębnić we francuskiej myśli filozoficznej dwa najsłynniejsze kierunki — materializm dialektyczny i chrześcijański idealizm — to z pewnością jest, że nastroj i ton ich wypowiedzi są biegunowo różne. Dotąd cytowaliśmy raczej lewicowe opinie. W „Pensée et action” (juillet 1945) katolicki krytyk R. M. Alberés rozpatruje z filozoficznego punktu widzenia powojenną produkcję powieściową. Rozprawka ta p.t. „L'avenir du désespoir” jest wyrazem zdecydowanie pesymistycznego stanowiska. Autor dochodzi do bardzo smutnych wniosków, że „Współczesna literatura rodzi się w klimacie tragicznym i zajmuje się rozpaczliwą walką człowieka przynajmniej ciężarem ludzkiego bytowania”. Ponieważ człowiek stracił zaufanie do otaczającego go świata, nie ma utworów radości i werwy, a życie stało się zbyt brutalne, konieczność zbyt gnębiąca. Poczucie, iż „jedyna rzeczywistość jest nasze więzienie” wynika wedle autora z faktu, że „Świat zaprzecza istnieniu Boga, co prowadzi do utraty wiary i nadziei”. Alberés wprowadza swoje tezy z analizy powieści i wierzy, że kierunkiem rozwojowym literatury będzie stworzenie w powieści podbudowy metafizycznej.

Temu tonowi rozpaczy i zagubienia się w nowiklanym społeczeństwie — tej chęci zatrzymania życia w biegu — przeciwstawia się ostro wypowiedzi teoretyków i zwolenników marksizmu, którzy domagają się od literatury nowego realizmu, aprobującego rzeczywistość, realizmu wyrosłego z wiary w człowieka i przyszłość.

Ewa Korzeniowska.

Z prasy angielskiej

GŁOS W SPRAWIE „POEZJI POLITYCZNEJ”

Pod tytułem „Angielska poezja polityczna” jeden z najpoważniejszych dziur w Anglii tygodników lewicowych — „Tribune”, kilka tygodni temu ogłosił obszerny artykuł, który w wielu swych punktach raz jeszcze ukazuje powszechny charakter naszych myśli o społeczeństwie i upolityczeniu piśmiennictwa lub o „zagadnieniach mickiewiczowskich”. Angielskie wypowiedzi i postulaty na ten temat są nie dość sprecyzowane, raczej ogólnikowe. Mimo to jednak — nie od rzeczy będzie z owymi poglądami się zapoznać.

Niejednokrotnie w ubiegłych latach — czytamy w „Tribune” — tłumaczono nam, że ludzie, którzy nie są czynnymi politykami, nie powinni wypowiadać się publicznie na temat zagadnień, posiadających aspekty polityczne. Oczywiście jest rzeczą, że nikt z nas nie ma ochoty słuchać proroków i madrali z Hyde Parku. Jednak między nami jest wielu takich, którzy dobrze znają przedmiot, którzy z natury i dzięki ciągłym ćwiczeniom potrafią myśleć w sposób głęboki i poważny — i którzy nie wypowiadają się bez dostatecznego powodu. My wszyscy potrzebujemy ich doświadczonego sądu o rzeczach.

W rzeczywistości jednak, w czasach ubiegłych, w ilości i w jakości myśli poświęcających problemom epoki spotykaliśmy się z wyrażonymi zaniedbaniami ze strony pewnych znakomitych umysłów. Od 1914 roku, poza wspaniałymi wyjątkami, nasi ludzie nauki upierali się przy odgrywaniu roli pustelników i pozostawiali podstawowe zagadnienia egzystencji i życia społecznego — nietknięte. Myśląc o wyjątkach — o elokwentnych i bez pośrednich myślicielach jak Eddington, Haldane, Julian Huxley — przenosimy uwagę od nich ku ludziom wyobraźni, specjalnie ku poetom naszych czasów. Coś się im stało, że są tak milczący lub tak neutralni wobec charakterystycznych cech współczesności.

Od razu na wstępie wyrażamy pogląd, że poeta ma prawo kierować swój talent ku takim zagadnieniom aktualnym, które interesują go w sposób naturalny, a nie potrzebuje interesować się sprawami innymi, Uważamy, że człowiek może być poetą nie wykraczając w swej twórczości poza temat uprawy kapusty. Jednakże zazwyczaj poeta jest człowiekiem, który widuje w jednym atrakcyjnym momencie lub obrazie życia całą panoramę spraw i idei, niby w ogromnym teatrze. Jego funkcją jest rzetelny krytycyzm życia: nie notowanie błędów i ułomności samych w sobie, lecz odnośnienie ich i wszelkich spraw przepływających — do trwałego osądu, co jest najlepsze, co rzeczywistość zasługuje na życie.

Jeżeli taka definicja była właściwa, powinniśmy uzyskać — w tym kraju, który zawsze ma do zanotowania stu lub więcej żyjących poetów — żniwo poezji, podobnie jak w okresie „burzy i naporu”. Żniwo poezji mającej siłę kształtowania i przynaglenia politycznego myślenia. Ten rodzaj piśmiennictwa, który tu mamy na uwadze, określamy bywa zwykle jako poezja polityczna. Mówi się często, że ostatnia generacja poetów angielskich była bardziej upolityczniona niż poprzednia. Możliwe, że była bardziej świadoma swej „ideologii”, niż tamta. W rzeczywistości jednak efekt tego wszystkiego, czego dokonała, jest mglisty. Nie słyszy się, aby ludzie cytowali tych poetów w związku z czymkolwiek, co podają gazety na temat nowej scenarii świata, konfliktów, projektów, czy osobistości.

A istota całego kłopotu jest taka: poeci są przekonani, że tylko wtedy będą poczytni,

kiedy zrobią się odlegli i zamknięci w sobie. A tymczasem jedyną realną drogą, na której ich specjalne prawo do intelektu i wizji może być prawdziwie cenione — jest zajmowanie się rzeczami realnymi. Nie prosimy koniecznie o naśladowanie Sir Williama Watsona „Ody do Mr. Lloyd George'a”, ani nawet Tennysona hymnu w sprawie formacji ochotniczego oddziału strzelców — żądamy jednak od poety zainteresowania wobec aktualnych faz i wydarzeń historii ludzkiej w jego pisarskich kontaktach z publicznością. Spodziewamy się znajdować w poezji politycznej szeroką różnorodność wyrazu, spotykając się i z filozofią i z satyrą, ale niech to wszystko posiada znamiona żywego stosunku do spraw o charakterze publicznym i do palących zagadnień współczesności.

Olbryzi kontrast pod tym względem pomiędzy naszymi czasami a epoką inną — epoką, która była tak samo pełna wielkich mężów stanu, konferencji, wojen, aliansów, postępu, nędzy, ateizmu, ortodoksji, rozpaczliwych i oznak wybawienia — widzi się wyraźnie, gdy się otworzy tomiki poezji Coleridge'a i Wordsworth'a, Shelley'a i Byron'a, o nawet Campbell'a i Moore'a. To byli — przy całym swym wizjonerstwie — ludzie z oczywistymi skierowaniami na przedmiot. I jakiegokolwiek zajmowali stanowisko — w ich myślach żyli bohaterowie współczesnego im dramatu i odbijały się wszystkie sprawy Państwa. Mieli oni dzięki temu wpływ na czytelników wszelkiego rodzaju, a talent ich był na usługach współobywateli. Bieżącym zagadnieniem teorii i administracji poeci ci nie byli dalsi od prozaka Cobbett'a.

Shelley pisze poemat pełen gniewu na wieść o masakrze w Peterloo, a Coleridge w swym „Fire, Famine and Slaughter” wypowiada swe myśli o następstwach polityki zagranicznej Pitt'a określając ją jako „dante macabre”.

Takich pisarzy przyzwyczailiśmy się od dawna nazywać Romantykami. W rzeczywistości jednak byli oni niezwykle żywi w stosunku do współczesności i jej fenomenów. Niemal żaden artykuł w pismach codziennych nie uchodził ich uwadze i ich osądom. I nie solidaryzowali się nigdy z jakimkolwiek teząmi wyłączeniymi jakiegokolwiek grupy intelektualne od odpowiedzialności za przyszłość sprawiedliwości politycznej, za przyszłość społeczeństwa. Polemizowali, gdy zachodziła potrzeba, prozą i wierszem. Wordsworth nigdy nie był aż tak pochłonięty mistycyzmem, aby nie pisać pamfletów politycznych i nie brać udziału w kampaniach wyborczych swego kraju. Chodzi nam tu w tej chwili nie tyle o to, z jakimi stronnictwami wiązali się ci poeci, ile o sam fakt energii, z jaką na temat spraw publicznych przemawiali do publiczności.

Byli przeważnie popierani przez prasę codzienną. Coleridge'a witano wszędzie jako naczelnego publicystę. Wypowiedzi Shelley'a popierano całymi seriami artykułów w dzienniku „The Examiner”. Byron nie potrzebował sprzymierzeńców wśród dziennikarzy: Jego „Don Juan” był sam w sobie potężnym przeglądem stanu rzeczy. Ostra inteligencja Byron'a była tu na usługi wszystkich interesujących się istniejącymi w Europie warunkami i możliwościami rozwiązania zasadniczych problemów. Gdyby Byron żył obecnie — na pewno nie zachowywałby milczenia wobec współczesnych dyktatów. W przeciwnym razie nowy „Don Juan” nie znalazłby zbyt wielu czytelników.

J. Z.

Kronika radziecka

PLAN 5-LETNI AKADEMII ARCHITEKTURY ZSSR

Wiceprzew. Akademii Arch., K. S. Alabian, udzielił pismu „Sowietskoe Iskustwo” (Sztuka sowiecka) wywiadu o 5-letnim planie roolot instytutów i laboratoriów Akademii. Tematyka wszystkich zagadnień podporządkowuje się idei aktywnej pomocy w odbudowie zniszczonej wojennych.

W celu wykonania rozległego planu powojennego bućownictwa zamierzone jest przede wszystkim przeprowadzenie industrializacji wszelkich procesów budowlanych, a więc: wszechstronny rozwój przemysłu budowlanego, wyprodukowanie z miejscowego przeważnie surowca materiałów budowlanych, wprowadzenie fabrycznego, standardowego budownictwa. Zagadnieniom tym poświęcają wiele pracy Instytut Techniki Budowlanej oraz Instytut Masowego Budownictwa. Liczne konstrukcyjne projekty i typowe projekty domów mieszkalnych wchodzi już w szeroką praktykę masowej odbudowy. Jednym z centralnych zagadnień Instytutu jest naukowe opracowanie problemu urządzeń miejskich pojętych w najszerzym sensie jako kompleks inwestycji związanych z higieną, wygodami i komfortem życia w mieście czy osadzie. Typowe projekty nowoczesnie wyposażonych a wymownych pod względem architektonicznym kilku- i wielopiętrowych domów mieszkalnych, najdoskonalsze typy dzielnic mieszkaniowych, naukowe opracowanie norm projektowania mieszkań — oto pierwszoplanowe zamierzenia Instytutu.

Naukowe podstawy planowania i budowy teatrów, stadionów, muzeów, szkół, szpitali itp. opracowuje Instytut Budynków Publicznych. Tematem monografii zamierzonej przez Instytut jest specjalne zagadnienie, dotyczące analizy centrów kompozycyjnych miast — w historycznym przebiegu i we współczesnych rozwiązaniach tego problemu.

Instytut Urbanistyki opierając się w swych pracach na osiągnięciach światowych w dziedzinie teorii i praktyki urbanistycznej będzie równocześnie uwzględniać w szerokim zakresie spuściznę własnej sztuki budowlanej.

Akademia podejmie prace z zakresu historii i teorii architektury uzupełniając poważny brak w dziedzinie historii rosyjskiego budownictwa, które dotychczas nie znalazło należytego opracowania. Przed wojną poważne studia poświęcono epoce renesansu, antycznej architektury zapominając niekiedy o własnej, narodowej sztuce. W czasie wojny wydano kilka książek i rozpraw na temat starodawnej rosyjskiej sztuki budownictwa, ale opartego na naukowych podstawach kursu historii rosyjskiej architektury dotychczas brak. W ramach pięcioletniego planu Instytut Teorii i Historii Architektury przewiduje wydanie wielotomowej historii rosyjskiego budownictwa. W początkach 1947 r. ukaże się „Krótki kurs historii rosyjskiej architektury” oraz wiele monografii i rozpraw na temat ludowego budownictwa narodów ZSSR. Dokończone będzie także wydanie pięcioletniej „Historii architektury”.

kb

PRZEGLĄD PRASY

Rozmaitości

Nowa postać samotności

Jestli nie mylił mnie historia i pamięć, to pierwszy głos inteligencji w sztuce był głosem rozoszarowania. Nazwano to romantyzmem. Po wojnach napoleońskich i Kongresie Wiedeńskim wszyscy przez bankierów francuskich mieli powody do głębokiego niezadowolenia w Europie zachodniej i środkowej. Z odpadków innych warstw ówczesnych tworzyła się warstwa inteligencji, która nadała tym prawie wyszczelnionym uczuciom kształt artystyczny, ale już zabarwiła go po swojemu. Samotność estowicka w pierwszej romantycznej edycji była samotnością inteligenta w coraz to ubożniejszym świecie. Samotny tęsknił do przyrody, bo też Jan Jakub Rousseau wymyślił sobie poczesny obraz estowicka naturalnego, młującego przyrodę i wolność. Samotny tęsknił do życia korańckiego, do doskonałego obrazu buntu przeciw niemiłemu sobie uładowi stosunków nie widział. Egzaltacja samotności mogła być się z niechęcią do udziału w życiu społecznym, albo, wręcz przeciwnie, mogła podbudzić do wdzierania się w gąsior ówczesnych walk wolnościowych. Byron walczył o niepodległość Grecji nie przeczył swojemu Manfredowi, Konrad samotny w cel wziętym klęcił się z Bogiem a los narodu. Samotny niekiedy nie był samotnikiem, przeciwnie, chorował na egzaltację działania i po stu latach w naszym społeczeństwie w popularnym języku nazywają romantyzmem estowicka, który walczy z wiatrakami. Tych, co propagują bezczynność, język popularny nazywa kibicami.

Od czasu romantyzmu znaleźmy w postawie inteligencji samotność stronniczą od sfery działania głoszący w myśli i sztuce prawo do bezczynności. Samotność zamijała się w skrupuła symbolizmu do czasu I-aj wojny światowej, obkładała się psychoanalizą. Freud między jedną wojną a drugą. Nie było uzasadnionej filozoficznie samotności, która by skłaniała do działania. Zdawać by się mogło, że poczucie samotności jest stałą formą obrony inteligenta przed pobusami działania, tymczasem przeczył temu przykład romantyzmu. Przeczył temu popularne pojęcie, które więcej mówi od książek filozofów, estetyków i lekarzy chorób nerwowych. Świadczą one raczej o tym, że „samotność” jest formą obrony odrębnych cech swojej świadomości. Samotność była najwyższą wartością, jaką w zamierzchłych latach przed pierwszą wojną intelektualni przypisywali estowickowi. Kiedys twórcę religii w przeszłości, każdego reformatora, każdego rewolucjonistę, inteligent chętnie nazywał wielkim samotnikiem. Był więc i wielkim samotnikiem Chrystus, kiedy go wbrew kościołowi myśli miszkańska usiłowała uosowić, był nim, nie wiadomo dlaczego — Mahomet, był nim Cromwell i założyciel Międzynarodowego Towarzystwa Robotników Karol Marks, a pewien nasz znakomity aktor chociaż wbrew reakcyjnej opinii okazał swój najwyższy szacunek dla Lenina nazwał go również wielkim samotnikiem.

W latach międzywojennych sprawa działania nabierała zbyt wielkiej aktualności dla inteligencji, musiała więc oddać się w sferze myśli i literaturze. Zdało się, że pierwszy François Mauriac, pisarz katolicki, zwrócił

uwagę na szczególną predyspozycję bohaterów „Dok estowickiej” Mauriac, biorących udział w rewolucji chrześcijańskiej. Ci ludzie są rzeczywiście samotnikami. Postawieni w swojej samotności sam na sam z własną egzystencją wewnętrzną, szukają jej potwierdzenia w działaniu. Tworzą sobie miły czynu w lekkim solipsyzmu. Daje to okazję do rozwinięcia bujnej i bolesnej psychologii w powieści. Mauriac dojrzał w tym moralne zagadnienie inteligencji francuskiej. Materialista będzie w tym widział jeszcze jeden fascynujący odłamek samotności społecznej.

W tym samym czasie zanurzył się w żywiołach samotności ubrojeni w filozofie Heideggera młody podówczas pisarz Jean-Paul Sartre, dziś redagujący własne czasopismo. Przed wojną Sartre zajmował się egzystencją, która ma być nieodłączną cechą istnienia ludzkiego, jako że estowicki jest ograniczony w czasie i że zmiany estowicka w czasie czynią jego egzystencję niezmenną. Fatalizm Amterci, który niedługo, w epoce naszych próbek rzucił feudalną wyobraźnię w teatrze Maeterlincka, przybrał w latach międzywojennych postać filozoficzną: fatalizm Amterci zawiera się w samym przeżyciu istnienia. Ból egzystencji wyrażają wszystkie postaci z wydanymi przed drugą wojną nowel Sartre'a. Gdyby na tym Sartre się zatrzymał, niczym by nie był dzisiaj w sferze literackim Francji. Tymczasem Sartre jest najnowszą sensacją. Stało się to dzięki dalszej ewolucji tej filozofii samotnictwa. Widownia historia, sprawa narodu, walka o wolność potrafi nawet w ciągu kilku lat zmodyfikować najbardziej metafizyczną koncepcję. Bohaterzy Sartre'a znaleźli w dążeniu ratunek przed bólem istnienia, może nie ostateczny, ale dość znaczący, aby afirmować działanie. W latach okupacji hitlerowskiej scena działania był dla Francuza jasny, sbiegał się z ruchem oporu. Po wyzwoleniu Francji idea filozofia działania stała się bezkierunkowa, w świecie estowicków rzeczywistość może ona uzasadnić wszelką działalność, a że stoi za nią myśl o Amterci, obsesja nieśmiertelności, ból istnienia i wiecena egzystencja, nieznaną postępowym romantyzm ubiegłego stulecia, więc samotność, która proponuje dzisiejszej inteligencji Sartre, widzieli niepokojące promienie kamienne. A przytęga i fascynuje choćby dlatego, że księżka na ratunek zagrożonej powieści psychologizacji.

Podobną ewolucję w latach wojny na naszym terenie odbyła myśl filozoficzna profesora Romana Ingardena, założyciela warszawskiej szkoły fenomenologicznej. Sartre i profesor Ingarden wyszli prawie z tych samych stanowisk i dotarli do pokrewnej afirmacji działania, tylko że słowa profesora Ingardena brzmią bardziej umiarkowanie.

Artykuł „Czas i człowiek” („Twórczość” Nr 2) kończy się zachętą do uświadomienia przez estowicka swojej nitki wewnętrznej. Ta nitka — „Trwać i być wolnym może tylko wtedy, jeśli siebie samą dobrowolnie odda na wyliczenie dobra, piękna i prawdy. Wówczas dopiero istnieje”. Niestety, ta filozofia nie wskazuje, co mianowicie jest dobrem, co jest pięknem, co jest prawdą.

ADAM WAŻYK

Nowe wydawnictwa

Zagłada Żydostwa Polskiego (album zdjęć)
Nakł. Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Łodzi. Str. 22+104+16.

Nakładem bardzo czynnej ostatnio na polu wydawniczym Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Łodzi ukazał się obszerny album, zawierający 252 zdjęcia obrazujące zagładę Żydostwa polskiego. Według pięcioplejowego wstępu układ zdjęć jest chronologiczny i obejmuje pięć okresów: 1. „spontanicznych”, jeszcze „nieurzędowych” represji, 2. powstawania i rozwoju ghet, 3. egzekucji, morderstw i likwidacji skupisk żydowskich i 4. obozów. Część piąta najmniejsza, poświęcona jest partyzance żydowskiej. Mimo tego objaśnienia, podany w nim układ nie rzuca się w oczy i wydaje się być nieco chaotyczny, tym bardziej, że podział zdjęć nie jest równomierny ze szkoda dla okresu czwartego.

Nagromadzony w albumie materiał wywołujący, gwałtowny, rzeź mogłyby w zupełności zastąpić oskarżycieli w Norymberdze. Album był najprawdopodobniej przeznaczony i dla zagranicy, jak świadczą o tym pięcioplejowe objaśnienia do fotografii i dwujęzyczne przypisy na końcu. Niemniej jednak na skutek minimalnego nakładu (5.000 szt.) nie dotrą do krajów, w których ilość nad „bledymi” Niemcami przeloniła logiczne myślenie i świadomością popełnionych zbrodni. A szkoda.

Najpoważniejszym brakiem albumu jest zaniedbanie strony graficznej artystycznej. Prosty układ zdjęć, po jednym, dwa, trzech

lub czterech na karcie bez żadnej oprawy graficznej, bez odpowiedniego tła czyni wrażenie niedbałości. Druga sprawa to druk. Drukarnia Św. Wojciecha, jedna z najlepszych w Polsce, nie wywiązała się ze swego zadania i bardzo złym odbiciem zmniejszyła wartość i efekt dobrych w oryginalnej fotografii. Wszczęta część zdjęć jest odbita nie dość ostro, niektóre wyglądają nawet jak rysunki. Oczywiście tym samym słabnie ich wartość dokumentarna.

Fotografie pochodzą przeważnie z archiwów niemieckich lub z prywatnych zbiorów oprawców, którzy lubowali się w uwiecznianiu swych „czynów”. Pokażna jednak część to dzieła Żydów lub Polaków, którzy z narażeniem życia fotografowali niemieckie zbrodnie, by je przekazać światu. W niektórych wypadkach, jeśli chodzi np. o łódzkie ghetto, fotografie i fotomontaże dokonane zostały przez młodzieżową nielegalną organizację, przy czym znane są nazwiska fotografów. Wydawcy powinni stanowczo — gdy znają — podać nazwiska fotografów, w ostateczności zaś, gdy dokładnych danych nie mają, źródła ogólne: niemieckie, polskie lub żydowskie.

Posiadając bogate archiwum fotograficzne, Komisja Historyczna zapowiada we wstępie wydanie dalszych albumów, przede wszystkim z dzieł ghetta warszawskiego i łódzkiego. Powinny się one ukazać w stanowczo większym nakładzie i bez wskazanych wyżej braków.

tego redaktora, natomiast z całą życzliwością traktuje wspomniany miesięcznik poetycki, którego dawnych tradycji i obecnej działalności nikt nigdy nie kwestionował. W całym swoim rozumowaniu dopuszcza się Kłosowski zasadniczego błędu przyjmując częstą zarzutów, skierowanych pod adresem pism takich jak „Odra”, „Zdrój” czy „Kamena” za całość, która według niego ma być takim samym dybbaniem na życie i istnienie tych pism.

Pamiętając ten artykuł, gdzie autor nie waha się mówić o współpracownikach i redaktorach pism tzw. centralnych używać słów takich, jak „gangsterstwo słowa”, „megalomania”, „inwazja megalomanii” i tak dalej, wypada nam kwestionować słuszność jego zarzutów i przyjąć się sprawie sine ira et studio. Ostatecznie wątpliwość będzie zapewne stwierdzenie, że popierając jak najgorzej powalając nowych pism literackich i ogólnie jako ich najeźźliwiej dotychczas istniejące pisma, reprezentujące zarówno twórczość jak i interesy kulturalne danego ośrodka, będziemy w dalszym ciągu walczyć ze złymi stronami przesadnie autonomii kulturalnej poszczególne ośrodki, czy to będzie Łódź, czy Kraków, czy Jelenia Góra lub zolta Katowice. Zważając będziemy pilnie uważać, by w sprawach artystycznych perspektywy nasze nie zwały się do perspektyw tej czy innej rzeki, lub tego czy innego miasta. Regionalizm jest luksusem, na który można sobie pozwolić wtedy, gdy poziom kulturalny całości jest wyrównany i odpowiednio wysoki. Tak u nas jeszcze niestety nie jest. Nie waliśmy zresztą, że poglądy podzielała zapewne wszyscy pracownicy kultury w Polsce bez względu na to, gdzie się znajdują.

Wydaje się, że pisma tzw. centralne ostro krytykują niektóre poczynania czy nastawienia pism tzw. prowincjonalnych. Krytyka ta jednak nie wykracza poza ramy oceny zagadnienia, nie usiłuje nigdy bagatelizować autora. Dlatego też z przykrością notujemy brak dobrych obyczajów w śląskiej „Odrze”, gdzie w Nr. 6-7 autor odrzańskich kroniki „Głosy notatki” pozwala sobie na uszczypliwości pod adresem swego kolegi z „Odrodzenia”, nie tylko demaskując, co nie jest przyzwoite, inicjały Zbigniewa Bieńkowskiego, lecz na domiar bagatelizując jego kronikarską pracę, która właśnie polega na wystawianiu „cenzurek”. Pracom — nie ludziom.

We wprowadzonym na wzór pewnego łódzkiego tygodnika literackiego dzieła not, który w „Tygodniku Powszechnym” nosi nazwę „Bez ogródka”, znajdujemy notkę o numerze „Wsi” poświęconym buntowi chłopskiemu roku 1846 i Szeli. Autor notki, po wielu zastrzeżeniach, że daleki jest od apoteozowania cisku chłopów, stwierdza, że „rabacja” była w istocie kontrrewolucyjna, że wskutek przedwczesnego jej wybuchu Galicja pozostała poza obrębem działania ruchów rewolucyjnych roku 1848. Tak więc współpracownik „Tygodnika” występuje przeciw „rabacji” w demokratycznym rymyżniku, z frygijską czapka na głowie. Sztydo z tego rzekomo czerwonego worka, w jakim zaszły swego kota autor notki wychodzi dopiero w następującym zdaniu: „Ami nasze poczucie narodowe, ami myśl rewolucyjna nie może traktować rabacji 1846 r. jako symbolu walki chłopskiej o pełne prawo”. Po czym następuje cytata z „Chorału” Ujejskiego: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...” przy czym ostatecznie to słowo zostało wydrukowane tłustym pitem. Wszystko rozumiemy! Kot w tym worku okazał się czarnym kotem solidaryzmu i obawy przed oznakami walki klasowej. Autorowi notki, cytującemu na poparcie swoich tez Ujejskiego, radzimy przeczytać Juliusza Słowackiego „Do autora Trzech Psalmów”, gdzie uważny czytelnik odnajdzie myśli i dźwięki jeszcze wielce aktualne.

ph

NAGRODA LITERACKA M. KRAKOWA



Julian Przyboś,
laureat nagrody literackiej m. Krakowa

Zapewnie suma niepokojących nas obecnie zagadnień, zarówno społecznych jak i kulturalnych, musi być bardzo wielka, jeśli stan naszej prasy periodycznej przewyższa pod względem ilościowym stan prasy przedwojennej. Przypuszczając należy, że obfita liczba czasopism literacko - społecznych tłumaczy się również niewielkim wież jeszcze nasyceniem rynku księgarskiego. Wreszcie, i tu wskazujemy już w dziedzinie, której ehelebyśmy poświęcić nieco miejsca w niniejszym przeglądzie prasy, poważna rola grają tu twórcze ambicje środowisk oddalonych od tak zwanych „centrów kulturalnych”, którymi są dziś ponad wszelką wątpliwość dwa miasta w Polsce: Kraków i Łódź. Silne związanie literatury z całokształtem życia kraju, rozszerzony zakres kompetencji pisarza, który z reguły spełnia dziś funkcje leżące w gruncie rzeczy poza granicami jego zawodu piarskiego, zastępując nieobecnego publicystę, wreszcie poszerzona baza odbiorcy — wszystko to zaktywizowało ośrodki kulturalne leżące poza linia Kraków — Łódź i w rezultacie jesteśmy świadkami krystalizowania się życia kulturalnego zarówno nad morzem, jak i na Dolnym Śląsku, w Katowicach czy Lublinie. Powstały jednocześnie czasopisma literackie, w dziedzinie literacko - społecznej, jak „Odra”, „Zdrój”, „Życie literackie”, które w gruncie rzeczy nie nosi na sobie wybitnego piętna poznańskiej specyfiki kulturalnej, ewoluując coraz bardziej ku poziomowi jedynego eklektycznego czasopisma ściśle literackiego. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ośrodki takie jak Śląsk czy Lublin, posiadające (zwłaszcza Lublin) spore tradycje kulturalne, są reprezentowane przez autochtoniczną prasę. Nikt rozsądny nie kwestionował nigdy „prawa do życia” kulturalnego Lublina czy Katowic, nikt nigdy nie twierdził, że życie literackie i artystyczne kraju może ograniczyć się do dwóch miast i do reprezentujących je dwóch tzw. centralnych tygodników. Dlatego też artykuł Józefa Nikodema Kłosowskiego „Szkolny fetyszizm” („Zdrój” Nr 6) jest z jednej strony przykładem nieporozumienia, z drugiej zaś — wywalaniem otwartych drzwi.

Autor wymienionego artykułu imputuje tzw. pismom centralnym, że „posiadają pewną charakterystyczną cechę, a mianowicie: nie znoszą intruzów. Intruzem natomiast jest każde nowe wydawnictwo periodyczne (z małymi wyjątkami) o charakterze społeczno-literackim, jakie ukaże się na rynku”.

Dalej następuje atak na „prześladozycy” prasy (jak określa ich Kłosowski), że ci, zamiast okarać nowonowstałemu pismu radę i pomoc starają się zlikwidować nowopowstałe pismo. Wreszcie występuje autor artykułu z płomienną obroną własnego pisma: „Zdroju”.

Przejeżdżając sprawozdania dotyczące „Zdroju” (tak samo rzecz się ma i z innymi czasopismami rzekomo krzywdzonymi przez tzw. pisma centralne) i stwierdziliśmy, że uwagi na temat tego pisma były raczej natury pozytywnej, bo wreszcie nie mogły i nie powinny być inne. Ostatecznie tzw. pisma centralne nie mają żadnego powodu, by martwić się, że dzielnicie takie jak lubelskie, Śląsk czy Pomorze mają swoje pisma literackie, co świadczy o intensyfikacji życia kulturalnego w tych ośrodkach. Jest prawdą natomiast, że w sprawozdaniach tych znaleźmy uwagi krytyczne dotyczące poszczególnych pozycji danego numeru. I tu już trzeba powiedzieć całą prawdę. Cytując autor artykułu nazwiska znanych literatów, których prace ukazały się w „Zdroju”. Ma to być legitymacja pisma. Otóż wydaje się nam, że o istotnej wartości pisma winny stanowić twórcy i artykule pochodzące z tego środowiska kulturalnego, gdzie pismo się ukazuje. Ich poziom i ich waga będzie jedynym usprawiedliwieniem potrzeby istnienia pisma. Tymczasem, jeśli mówimy o „Zdroju” i nie tylko o „Zdroju”, to nie znaleźliśmy w nim takiego materiału. Obserwowaliśmy raczej dużą ilość rzeczy o niewysokiej wartości artystycznej, czytaliśmy artykuły nie zawsze słuszne, wreszcie kwestionowaliśmy wybijający regionalizm i separowanie się od pozostałych środowisk kulturalnych, czego świadkami również jesteśmy zawsze, ilekroć zaznajamiamy się z treścią śląskiej „Odry”.

Niewątpliwie Śląsk — pozycja zasadnicza i wymagająca specjalnej opieki — znalazł w „Odrze” swoje odbicie. Z drugiej strony z „Odry” dowiadujemy się o sprawach śląskich bardzo wiele. Kwestionować należy jedynie literacki materiał „Odry” oraz dział artykułów teoretycznych z zakresu literatury, które często budzą podziwienie, że „perspektywa Odry” na sprawy literatury i sztuki nie jest wystarczająca, tak jak nie może być wystarczająca perspektywa Lublina, Krakowa czy Łodzi. Czasopisma tzw. centralne mają te niewątpliwą przewagę nad czasopismami ukazującymi się w pozostałych ośrodkach, że nie usiłują narzucić tej wąskiej perspektywy, która stara się nam narzucić pisma takie jak „Odra” czy „Zdrój”. O tym jak groźne mogą być przerosty zle pojętego regionalizmu niech świadczy literacka zawartość jednodniówki „Cychry” i sens artykułu Kłosowskiego, który stara się zasugerować sztuczny podział literacko - społecznej prasy w kraju na „centralną” i „prowincjonalną”.

Przykłady jakimi operuje autor artykułu są wielce charakterystyczne: oburza się np. Kłosowski, że jedno z pism centralnych „ośmieszca” zasłużonego redaktora pewnego poetyckiego miesięcznika, znanego szeroko w okręśle przedwojennym. To prawda, ale pismo centralne wyszydza tylko nieudany artykuł

NOTY

CURIOSUM

Ludzie poszukują zwykle sensacji na pierwszych stronach gazet, pod szumnymi, wieloznacznymi tytułami. Doświadczenie jednak poucza, że największe sensacje, najosobliwsze ciekawostki i curiosa znaleźć można zazwyczaj w mniej eksponowanych rubrykach, na dalszych stronach gazet, gdzie — jak fiołki skromnie ukryte w trawie — oczekują na tego, kto je odszuka i ukaże światu.

W kronice prowincjonalnej jednego z pism stołecznych wyczytałem, że oto w zjem; radomskiej, grupa kolejarzy postanowiła naprawić i odbudować kilkunastokilometrowy odcinek kolejowy Bąkowiec—Kozienice. Chwałebnej inicjatywie obywatelskiej stanął jednak na przeszkodzie brak środków finansowych, gdyż Min. Komunikacji nie przewidziało żadnych kredytów na ten cel. Ale koziennicy kolejarze nie są w ciemnej biele, postanowili odbudować bocznice „własnym przemysłem”.

Istotnie — „własnym przemysłem”. Zabrał się bowiem do bardzo dziś dochodowego przemysłu... gorzelnianego i — uruchomiwszy fabrykę bimbrowa na wielką skalę — zdobyli w krótkim czasie takie środki, że pożytecznego dzieła odbudowy kolejowej — na pożytek krajowi i społeczeństwu — własnymi rękami dokonali.

Inicjatywa i pomysłowość wydały więc upragnione owoce. Jednak prokuratura Sądu Okręgowego w Radomiu uznała za właściwe zainteresować się tą sprawą i — wyraziła przy tym poważne zastrzeżenia prawne. Te zastrzeżenia idą tak daleko, że inicjatorzy koziennickiej odbudowy a zarazem właściciele wódeczanej wytwórni staną wkrótce przed trybunałem sędziowskim. Oczywiście — nie za pełną szlachetną troską inicjatywy, lecz za gorzelnianą kolizję z interesami skarbu państwa.

Nie łatwo będzie rządowi rozwikłać tę osobliwą sprawę, a wyrok, jaki zapadnie, będzie musiał mieć cechy iscie salomonowe. Ale — mówiąc Bogiem a prawdą — wolelibyśmy, aby tego rodzaju curiosów w rzeczywistości naszej nie było. Aby pięknej inicjatywy obywatelskiej nie sprowadzano na manowce konfliktów karnych, na skutek braku środków do realizacji pożytecznych planów.

Bo gdyby zaczęto u nas rozumować sposobem koziennickich kolejarzy, moglibyśmy się rychło doczekać, że pracownicy przy odbudowie mostów warszawskich — dla szybszego ich ukończenia — wpadliby na pomysł założenia... własnej drukarni banknotów państwowych.

Budżet Min. Komunikacji powinien przewidywać odpowiednio sumy na odbudowę nawet takich linii, jak Bąkowiec—Kozienice. A jeśli Ministerstwu Komunikacji brak pieniędzy, niech — że racją pożyczkę wewnętrzną w bardzo zasobnym Państwowym Monopolu Spirytusowym, co ustrzeże znacznych, palających żądzą odbudowy, prowincjonalnych kolejarzy od ewentualnego naprawiania kolei za pieniądze, nielegalnie temuż Monopolowi odebrane. A wówczas — ani prawo, ani moralność społeczna, ani dobre obyczaje nie będą na sztych wystawione.

bł/

RACHMISTRZE

„Tygodnik Powszechny”, w numerze z 10 marca prosi o „błędy perspektywiczne” „Kuznicy”. Jej redaktor naczelny — Stefan Żółkiewski — powodowany dobrą wolą, w dobrej wierze wzywał katolików do współpracy z marksistami przy „odbudowywaniu wspólnym; siłami dachu nad wspólnym domem”.

— „Do kogo to wyciąga pan wspaniałomyślnym gestem rękę panie Żółkiewski? — wola pompatycznie pismo kurji Xiążęco-Metropolitalnej w Krakowie. — Wspólny dom? — „Naród polski w przytłaczającej większości składa się z katolików”. Co tu więc gadać o jakiejś wspólności, kiedy nie tylko dach, ale też fundamenty i ściany tego domu muszą być katolickie. Inaczej nie przystaniemy. Non possumus!

— Jakże dotąd byliśmy naiwni! Teraz nam się zaczyna trochę w głowie przejaśniać. Oni istotnie mają rację. Fundamenty, ściany i dach tego domu naprawdę będą takie, jak książę Metropolita rozkaże. Jeden gest pontyfikalny i wszyscy wierni od nas odejdą: pójdą jak jeden mąż 100 proc. członków Stronnictwa Ludowego, 99,99 proc. członków Stronnictwa Demokratycznego, 99,9 proc. członków Polskiej Partii Socjalistycznej i 99 proc. członków PPR-u. Na uboczu stać będzie z wyciągniętą do zgody ręką Żółkiewski oraz półtora agenta z Moskwy.

I nareszcie zapanuje szałanka.

świerk

ZMOWA MARKSISTÓW

Żółkiewski porozumiał się z Nalkowską, Nalkowska z Jastrunem, Jastrun z Ważykiem, Ważyk z Sandauerem, Sandauer nie możemy jeszcze powiedzieć z kim... Plan ułożono w najgłębszej tajemnicy. Nalkowska dla zmylenia podejrzanych wyjechała do Paryża, Jastrun jak gdyby nigdy nic... uszył sobie nowe ubranie, Sandauer rozpętał burzę o świadomość stylu, Kott porozumiał się z redakcją „Przekroju”...

Szło mi mniej mi więcej, ale o zniszczenie „Trylogii”, starcie jej z powierzchni ziemi, wypalenie do gna jej śladów.

Nie udało się. Dzięki genialnej przenikliwości detektywów w „Dziś i Jutro” — szatański plan marksistów został wykryty. Posłuchajmy: (Nr. 12)

„W „Kuznicy” w artykule p. t. „O młodszym bracie — pamflet” wspomina Żółkiewski że zgrozą o nauczycielach, którzy oceniają znajomość historii u swoich uczniów znajomością „Trylogii”. W „Przekroju” J. Kott pisząc o penicylinie powołuje się nie bez żartobliwej niedbałości na autorytet Onufrego Zagłoby. Znajac zasadę pracy „Kuznicy” i przegadanie się jej współpracowników, jesteśmy pewni, że szykuje się w „Kuznicy” wielki atak na Sienkiewicza. Właściwie, to się już nawet zaczął. Bo Kott powiada z nonszalancją: „kiedy Bohun posiekał Pana Włodzysławskiego” w co nie chcemy wierzyć, aby było potknięciem się Kotta i redakcji „Przekroju”, ale po prostu próbą sprowokowania przeciwników. Niech tylko zaczną — zaraz się dowiedzą, co sferę „autorytatywną” myślą o Sienkiewiczu „Trylogii” itp. (podkreślenia moje).

Dzieci kochane! Zwyczajnie strzełem byka. Słowo honoru! A dyskusja Ważyka z Sandauerem o psychologicznej interpretacji kultury nie była próbą zamaskowania nowych ataków i nie da się jej zastąpić zajrzeniem do podręcznika stylistyki.

U „ZDROJU” WIEDZY LITERACKIEJ

Oderwani od życia kulturalnego, na „działku Wschodzie”, w Białymstoku, łakniemy wiedzy literackiej, jak spragniony źródłu. Czytamy więc pilnie pisma, poświęcone kulturze, życiu i sztuce, m. in. lubelski „Zdrój”.

W numerze 5-ym tegoż pisma z dn 1 marca 1946 znajdujemy naprawdę rewelacyjne informacje; p. t. „Mickiewicz w Związku Radzieckim” czytamy notatkę, w której autor komuś mówi nam, że:

„W planach wydawniczych Radzieckiego Państwowego Wydawnictwa Literackiego znajdują się utwory wybrane Mickiewicza, które w najbliższym czasie ukażą się na półkach księgarskich.

Zbiór zawiera: „Konrada Wallenroda” w tłumaczeniu Aszejewa, „Grażynę” w tłumaczeniu Kowaleńskiego, urywki z „Pana Tadeusza” w tłumaczeniu Zuzanny Mar, „Dziady” w dawnym przekładzie, „Balladyna” w tłumaczeniu częściowo Puszkina, częściowo w nowym przekładzie Zienkiewicza, Gołdnego i Władzina, oraz liryki w przekładzie zbiorowym”.

A my, njeuświadomieni nie wiedzieliśmy dotychczas, że Mickiewicz jest autorem „Balladyny”.

Dłatego trudno nam zrozumieć, w jaki sposób Puszkina, który zginął 8 lutego 1837 roku mógł „częściowo tłumaczyć „Balladynę”, która ukazała się w roku 1839-ym? Duch Puszkina tłumaczył z zaświatów, w „Zdroju” wieczności. Brrr!

J. Rawicz.

OBŁĘD

Do rąk naszych dostał się przypadkiem następujący raport radomskiej placówki Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P., który podajemy naszym czytelnikom do oceny:

Związek Rewizyjny Spółdzielni R. P. Okręg w Radomiu.

Oddział w Radomiu

L. dz. 86/46. Radom, dnia 16 marca 1946.

Dodatkowo zawiadamiamy o rabunku dwu dalszych naszych Spółdzielni Spożywców we Wsoli i Wielogórze w dniu 14 marca o godzinie 10-tej wieczorem.

Dywersanci przybyli samochodem, opanowali posterunek M. O. we Wsoli, ograbili obydwie Spółdzielnie, a resztę towaru polecili rozdać pomiędzy członków i zlikwidować Spółdzielnie, a w razie, gdyby Zarząd ośmielił się w dalszym ciągu prowadzić działalność gospodarczą, zagrozili surową karą.

Jednocześnie dywersanci oświadczyli, że Państwo niszczy handel prywatny, wobec tego oni niszczą państwowy. Na miejsce Spółdzielni „polecili” założyć sklep prywatny.

Podajemy powyższe do wiadomości i ewentualnego wykorzystania.

Ze spółdzielczym pozdrowieniem Związek Rewizyjny Spółdzielni RP.

Oddział w Radomiu.

(—) Podpis nieczytelny.

Spółdzielczość jest jak wiadomo ruchem antyspołecznym, który zniszczył całkowicie handel prywatny w Danii, Szwecji i Anglii oraz przyczynił się do zupełnego ekonomicznego upadku tych państw.

rkm

Korespondencja

Do Redaktora „Kuznicy”

W Nr. 11 „Kuznicy” ukazały się dwie notatki o działalności „Czytelnika”.

W jednej, podpisanej przez ob. mj. zarzuca się „Czytelnikowi”, że wydał tylko dwie pozycje poetyckie, a mianowicie Przybosa i Miłosza. Ob. mj. nie czytuje „Kuznicy”, z której mógłby dowiedzieć się, że poza tym „Czytelnik” wydał „Lutnię Puszkina” (a może Puszkina nie jest wybitnym poetą — to przepraszam), poza tym poezje Andrzeja Nowickiego i szereg reklamowanych w „Kuznicy” utworów poetyckich dla dzieci i młodzieży. Niezależnie od tego na łamach „Twórczości”, „Odrodzenia” i „Przekroju” wydawanych przez „Czytelnika” stale ukazują się utwory najwybitniejszych poetów polskich, np. Mieczysława Jastruna, którego tom poezji wydała „Książka”, obok utworów poetyckich Leona Pasternaka, Stanisława Leca, Słobodnika itd. Z tego wynikałoby, że za stan wydawnictw poezji w Polsce jest odpowiedzialny nie tylko „Czytelnik”. Ob. mj. radziłbym dla zorientowania się, dlaczego się jeszcze niektóre pozycje poetyckie nie ukazały, zestawić stan drukarstwa w Polsce sprzed 1939 r. i obecnie, oraz sprawdzić statystykę, ile utworów poetyckich ukazywało się przed 1939 r. a ile obecnie.

Z drugiej notatki, podpisanej przez ob. buka, dowiedziałem się, że na 350 periodyków w Polsce większość wydaje „Czytelnik”. „Czytelnik” wydaje 30 pism codziennych, tygodników i miesięczników. O ile znam arytymetykę, nie stanowi to większości. Na rozprawienie tych czasopism „Czytelnik” również nie ma monopolu, nigdy się o ten monopol nie ubiegał, jest jedną z co najmniej czterech organizacji kolportażowych w Polsce. Fakt niedoprowadzenia należytego do czytelnika

jakiegoś numeru „Kuznicy” posłużył ob. bukowi za temat do notatki w stylu tragedii klasycznej. Piszący te słowa, jako skromny pracownik Kolportażu radziłby ob. bukowi 24 godziny popracować w warunkach trudności transportowych i pocztowych nad problemem rozpowszechniania czasopism — to znacznie trudniej, niż oskarżać o nieudolność, albo przemoczenie, albo nawet błąd organizacyjny jedną z licznych komórek tak wielkiej i zasłużonej instytucji, jaką jest „Czytelnik”.

Racz przyjąć ob. Redaktorze wyrazy ubolewania, że tak cenne uwagi Waszych współpracowników nie mogły ukazać się przed 1939 r. Wiedzianno by wtedy nareszcie, że wszystkiemu co w Polsce jest złe, winni są nie tylko Żydzi. I nie tylko cykliści, ale również „Czytelnik”.

Do Redakcji „Kuznicy”

Do artykułu mego p. t. „Przeżyte formy wykształcenia ogólnego” wkradły się błędy zecerckie, z których dwa zwłaszcza wypacają znaczenie wypowiedzi. Mianowicie w rozdziale 8 pierwsze zdanie winno mieć błędne sformułowanie takie: „Pojęcie ogólnej inteligencji wiąże się również z pojęciem osobowości jako owej idealnej rzeczywistości kulturalnej, jednolitej i całościowej struktury duchowej”.

W rozdziale 10, zdanie w 18 wierszu od góry winno mieć brzmienie poprawne następujące: „Przeszkodą jest tu być może sztywny zakaz przedwojenny”, ale itd.

Ze względu na to, że zdania powyższe stały się przedmiotem analizy czytelników „Kuznicy”, uprzejmie proszę o ogłoszenie wymienionych poprawek.

Łączę wyrazy poważania

A. J. Baculewski

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO REJONU ŁÓDZKO-KIELECKIEGO

POLECA

znane z jakości i dobroci piwa Państwowych Browarów w Łodzi, Częstochowie, Jędrzejowie-Kieleckim, Sieradzu, Tomaszowie-Maz., Wieluniu i Zduńskiej Woli. — W najbliższych dniach ukaże się na rynkach ciemne piwo słodowe wybornej jakości, na cukrze.

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU CUKIERNICZEGO

podlega Ministerstwu Aprowizacji i Handlu

SPRZEDAJE

następujące wyroby państwowych fabryk:

1. Makaron z pszennej mąki po cenie zł. 85.— za kg
2. „ z żytniej mąki po cenie zł. 50.— za kg
3. Miód sztuczny po cenie zł. 180.— za kg
4. Pierniki od zł. 160.— za kg
5. Herbatniki i inne pieczywo od zł. 310.— za kg
6. Cukierki od zł. 270.— za kg

Detaliczna sprzedaż

odbywa się w sklepach własnych

1. WARSZAWA, UL. PUŁAWSKA 28
2. „ PRAGA, ZAMOYSKIEGO 28
3. „ ŻOLIBORZ, MICKIEWICZA 27.

CENY OGŁOSZEŃ: P łupna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalte.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmujące wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-11.

D—09202

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.